Nr. 20. Lwów, Niedziela dnia 16. Maja 1875 r. Rok II

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr

LUŹNE UWAGI.

XX.

Nauka języka polskiego.

I. Z wiekowej ojców spuścizny pozostał nam tylko język ojczysty, skarb ostatni, marnotrawiony przez nas z tą samą nieoględnością, z jaką inne skarby nasze puściliśmy marnie. Literatura polska naukowa żyje o żebranym chlebie, belletrystyczna utrzymuje się jeszcze, dzięki temu jedynie, że może być przedmiotem handlu, a nauka języka polskiego poszła w poniewierkę. Doszliśmy do tego, że w jednej tylko Galicji mogąc jeszcze zwać się i być Polakami, szkoły w niej mając polskie średnie i wyższe — nie jesteśmy w stanie dać młodzieży szkolnej nauczycieli języka polskiego, a uniwersyteckiej tegoż języka profesorów. W dwóch uniwersytetach krajowych wakują katedry języka polskiego, w jednym od lat czterech, w drugim od roku; młodzież szkolną zmuszeni są uczyć po polsku nauczyciele, których język polski nie jest specjalnością — i dla tego uczą źle, a młodzież opuszcza ławki szkolne pisać poprawnie nie umiejąc, i przechodzi na uniwersytet i akademję techniczną, by w tych najwyższych zakładach naukowych również nie spotkać się z nauką mowy ojczystej. Fakt, do wiary niepodobny, a jednak prawdziwy. W kraju fungują trzy komisje egzaminacyjne nauczycielskie, kwalifikujące także na nauczycieli języka polskiego, bo mają egzaminatorów z urzędu, acz bez odpowiednich kwalifikacyj profesorskich. Umocowani do egzaminowania kandydatów, egzaminują ich, sami egzaminów nie mając... i dzieje się to u nas, czego nigdzieindziej spotkać niepodobna, że kwalifikacji nauczycielskiej udziela ten, który o takąż kwalifikację sam z czasem będzie musiał się ubiegać, jeśli go zasługi egzaminatorskie nie wyniosą na katedrę uniwersytecką!... Jak na tem wszystkiem wychodzi nauka języka polskiego w szkołach naszych? wyrozumieć snadnie. Jak wyjdzie kraj na takiej nauce? tem się ani on, ani jego reprezentacja, ani dziennikarstwo nie interesuje wcale. Mamy wolność mówienia i nauczania po polsku— tego dość! a że mówimy źle, że uczymy gorzej jeszcze — fraszki! A z tych fraszek co? Otó mowa ginie, a gdy ona umrze — umrzeć z nią musi i naród. Lecz nie nam to myśleć o śmierci naszej; dość, że myślą o niej Prusy i Moskwa.

Umarł Suchecki, lat cztery nie ma wykładów języka polskiego w uniwersytecie krakowskim; ustąpił Małecki, uniwersytet lwowski kontentuje się wykładami docenta dla literatury polskiej, zmuszonego wykładać język polski, i być egzaminatorem nauczycielskim jedynie na mocy oficjalnego polecenia. A kraj nic na to, patrjotyczne sumienie jego obywateli jest doskonale spokojne. Wszak chodzi o bagatelę; oto tylko, że nie ma komu Polaków w Polsce uczyć po polsku.. Źle mówimy, jest uczyć komu. Namyślił się krakowski uniwersytet i osieroconą po Sucheckim katedrę języka polskiego oddaje — komu? Sądzicie może, że rozgłośnej sławy polskiemu lingwiście, a gdy takiego nie ma — młodemu pracownikowi, rokującemu swietną przyszłość, gdy i takiego brak — miłującemu przynajmniej język ojczysty, którywy bodaj tę miłość przelać umiał w gorące serca młodzi uniwersyteckiej, jeśli już i tacy nie istnieją — Polakowi przynajmniej z imienia?... Nie! uniwersytet krakowski katedrę języka polskiego oddaje człowiekowi, który nad Newą uczył się lekceważenia wszystkiego co polskie, który nic nigdy nie pisał po polsku, który mówić po polsku nie umie, który aplikując się na paleografa, o lingwistyce nie myślał i nie mógł myśleć na serjo... oddaje ją p. Kałużniackiemu, nauczycielowi geografji i historji w ruskiem gimnazjum we Lwowie. Cóż, czy nie ma komu Polaków uczyć w Polsce po polsku? Czy nie ma dość pp. Kałużniackich na bożym świecie?...

Żart-że to boleśny uniwersytetu krakowskiego, drwiny z Polski i z całego świata naukowego? Dalejże! zaproście p. Palucha, by wam wykładał historję polską; wyznajcie głośno: nie o naukę, nie o polskość nam chodzi, ale o żart, bośmy znudzeni, i syci sławy krakowskiej szukamy rozrywki w wyborach profesorskich, irytujących ludzi z poza Krakowa!... Będzie to szczerze przynajmniej. Jak lekko, jak występnie, nierozmyślnie poczynamy sobie z najświętszą sprawą ochrony mowy ojczystej! Jeszcze raz powtarzamy, że gdy zginie mowa polska, zginie i imię Polski, żeby zaś to nie nastąpiło musimy mieć jej naukę w szkołach i uniwersytetach. Reprezentacja kraju i dziennikarstwo niech się nad tem dobrze zastanowią i złemu jak najprędzej zaradzą — bo tego od nich cały kraj żąda. Co zaś w tym kierunku uczynić należy, o tem pomówimy w następnym artykule.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Kiedy staremu Dylskiemu doniesiono o zniknięciu córki, przyjął tę wiadomość dość obojętnie, machnął tylko ręką i rzekł:

— Wiedziałem, że to się tak skończy, że na psy zejdzie.

Nie przywiązywał on nigdy wielkiej wagi do córki, nie zajmował się nią wcale; radby był jak najprędzej pozbyć się jej z domu, wydać za kogo bądź, byle tylko zmieniła nazwisko, a kiedy sama postarała się o opuszczenie domu, nie zmartwił się tem wcale, szło mu tylko o to, by nie nosiła nazwiska jego synów.

— Niech robi co chce, niech sobie idzie, gdzie chce, byle tylko nie przyznała się do naszego nazwiska. To nazwisko powinno zostać nie splamione, by synowie moi nie potrzebowali się rumienić za nie.

Ucieczka córki była mu nawet na rękę; próbował bowiem użyć tego na swoją obronę i lubo nie dość wyraźnie, ale chciał dać do poznania sędziemu, że może córka ukryła pieniądze Mendla i uciekła z niemi. Ale sędzia zniweczył ten jego plan pokazując mu

doniesienie policji, która zawiadamiała sąd, że odbyła na granicy ścisłą rewizję koło uciekającej i nie znalazła przy niej nic. Dylski dowiedział się przy tej sposobności, że córka jego uciekła z jakimś młodym człowiekiem, że policja wie o miejscu jego obecnego pobytu i jeżeliby tego zechciał, może ją sprowadzić napowrót. Ale Dylski nie nastawał wcale na to, aby wracała do domu, gdzieby wstyd tylko robiła rodzinie. Nie wspominał o niej nigdy w rozmowie z żoną lub synem.

Natomiast bolało go i gniewało, ze Józef nie zaniechał zamiaru porzucenia szkół, że owszem już poczynił starania o uzyskanie patentu majsterskiego i ma niebawem otworzyć warstat. Stary używał wszelkich możebnych sposobów, aby syna odwieść od tego zamiaru, który burzył jego najmilsze nadzieje; prosił, zaklinał, groził nawet; ale obecność sędziego, w obec którego odbywały się te rozmowy, nie pozwalała mu użyć najskuteczniejszego, jak mniemał, argumentu do przekonania syna. Bo ponieważ był przekonany, że tylko obawa niedostatku skłania Józefa do porzucenia szkół, więc był pewny, iż gdyby mógł go uwiadomić o ukrytych pieniądzach, z pewnością odwiódłby go od nierozsądnego kroku, jakim nazywał jego chęć zostania rzemieślnikiem. A tego właśnie powiedzieć mu nie mógł, i to go do wściekłości doprowadzało. Wiedział, że ma siłę powstrzymania syna, a siły tej użyć nie mógł, nie mógł jej dobyć z ciężkich kajdanów milczenia. Miał nadzieję, że może Jan odgadnie jego życzenia i przypuści Józefa do tajemnicy; z oczów Józefa starał się nieraz wyczytać, czy nie rozmawiał z bratem kiedy o tym przedmiocie, raz nawet zdecydował się spytać go wręcz, gdy się zgadało znowu o postanowieniu Józefa:

— A cóż Jan na to? Czy on ci nie odradzał tego?

— Jan? — spytał Józef zdziwiony pytaniem ojca — Jana nie ma w Krakowie. Czy nie był pożegnać się z tobą, ojcze?

Ta wiadomość zmięszała Dylskiego. Nie spodziewał się, że Jan wyjedzie bez pożegnania się z nim i choć nie był zbyt uczuciowym zabolało go to mocno. Nie mógł mu mieć za złe, że go nie odwidzał w więzieniu, była to może zbytnia przezorność i ostrożność ze strony jego; ale gdy mu powiedziano, że wyjechał całkiem z Krakowa i nawet nie polecił nikomu pożegnać go, pozdrowić, doznał dziwnie przykrego uczucia, jakby go kto w serce ukąsił.

Żal jego zmalał znacznie, gdy mu powiedziano, że Jan wyjechał do Wiesbadenu poradzić się na oczy i że jakiś majętny kolega jego pożyczył mu pieniędzy na tę podróż; w postępku Jana widział teraz więcej przezorności, niż nieczułości. Tłumaczył go przed sobą samym, że nie przyszedł się z nim pożegnać, by uśpić czynność policji: tym postępkiem bowiem dawał niejako poznać, że wypiera się ojca, który zostaje pod tak ciężkim zarzutem zbrodni, a takie postępowanie ułatwi mu wyjazd za granicę, gdzie będzie mógł swobodniej używać owych pieniędzy.

Tak sobie Dylski tłumaczył syna, a jednak nie mógł go całkiem usprawiedliwić przed sobą. Musiał podziwiać jego przytomność, przezorność i spryt w postępowaniu, ale taka wyrafinowana przezorność w młodym człowieku wydawała mu się czemś potwornem, przerażającem. Szczególnie gdy sobie przypomniał ową fatalną noc, w której Mendla pugilares ściskał w swej dłoni i tracił głowę z przestrachu i nie wiedział co począć, otóż gdy sobie przypomniał z jaką zimną krwią i przytomnością w owej nocy Jan się znajdował, strach go przechodził i cierpnął na to wspomnienie. Jan przedstawił mu się jako wytrawny zbrodniarz; a lubo uznawał, że to było koniecznem wtedy, że gdyby nie Jan nie byłby może wstanie ukryć tych pieniędzy przed okiem policji i dziś nie byłby w ich posiadaniu, to jednak dałby wiele z tych pieniędzy, aby to kto inny a nie Jan pomógł mu był wtedy. Dla szczęścia swych dzieci zdecydował się zostać zbrodniarzem, ale nie chciał we własnym synu widzieć takich skłonności do zbrodni. Nieraz w bezsennych nocach siedząc na tapczanie rozmyślał o tem; ale wnet po takich myślach przychodziła refleksja, że Jan jako prawnik i adwokat obyty był z różnego rodzaju fortelami złodziejskiemi, że to, co on uważał za wrodzoną jakąś złą skłonność, było tylko wynikiem zdolności jego i wielkiej pracy w swoim zawodzie. Tem się pocieszał i rozmyślając o przyszłej karyjerze swego syna, przeczuwał świetne jego powodzenie. Mógł być spokojnym o niego — Jan będzie umiał wznieść się wysoko.

Szło tylko o Józefa. Jego uporczywe obstawanie przy raz powziętem postanowieniu zostania stolarzem, martwiło Dylskiego i zatruwało mu życie. Bądź co bądź postanowił nie dopuścić do tego i w jaki bądź sposób uwiadomić syna, że jest wstanie dać mu wcale wystarczające utrzymanie, byle tylko nie porzucał szkół i kończył medycynę. Do przesłania tej wiadomości użył Dylski dozorcy więziennego. Dozorcę tego umiał sobie pozyskać pieniędzmi i nieraz przez niego wysyłał kartki do domu. W kartkach tych jednak nie było nigdy nic ważnego, a szczególniej nigdy nie pisał nic takiego, coby mogło ściągnąć na niego najmniejsze podejrzenie, w razie gdyby kartka przez nieostrożność lub złą wolę dozorcy dostała się do rąk sądu. Teraz dopiero przyciśnięty koniecznością zdecydował się uwiadomić syna, że jest dość bogatym, aby pomódz mu do ukończenia szkół, kazał mu zaciągnąć pożyczkę, którą on za wyjściem z więzienia zapłaci z procentem. Kartka ta dostała się w ręce sądu. Dozorca bowiem nie z własnej chęci, ale za pozwoleniem policji dał się użyć do ułatwiania korespondencji więźniowi. W ten sposób policja spodziewała się trafić na ślad ukrytych pieniędzy: każdą kartkę Dylskiego czytano najprzód w policji, za nim ją zaniesiono do jego rodziny. Ostatnią zatrzymano i przesłano sądowi. Stanowiła ona małe świadectwo przeciw Dylskiemu i pogorszyła jego sprawę. Zaostrzono jego więzienie i zabroniono mu całkiem widywać się z rodziną. Nie mógł więc teraz całkiem nic robić, aby odwieść Józefa od jego zamiaru.

Ale i bez tego Józef nie byłby uległ woli ojca. Mając głębokie przeświadczenie, że to, co chce robić, jest dobre, nie dał się niczem powstrzymać od wykonania swego zamiaru i postępował energicznie obraną drogą. Przedewszystkiem starał się o ubezpieczenie własnej egzystencji, o wyrobienie sobie pewnego stanowiska, wychodził bowiem z tej zasady, że kto nie umie pracować dla siebie i rodziny, ten nie zrobi także nic pożytecznego dla społeczeństwa. Społeczeństwo jest sumą rodzin pojedyńczych. Kto pracuje dla rodziny, przykłada się już tem samem do dobrobytu ogólnego; gdy przeciwnie ludzie, którzy pomijając obowiązki rodzinne chcieli być apostołami sprawy publicznej, popadali najczęściej w utopje, stawali się marzycielami a nawet wichrzycielami bez wpływu, bo nie mieli gruntu pod nogami, a przeciwnicy ich umieli pokonywać ich usiłowania, przedstawiając ich jako ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, którzy chcąc być wszystkiem, są niczem. Józef lubo młody jeszcze miał umysł trzeźwy i praktyczny, a przy tem bystry rozsądek i wcześnie przyszedł do tego przekonania, że najbardziej produkcyjnemi cnotami są te, których potrzebujemy do codziennego użytku, działają one najlepiej i trwają najdłużej; gdy przeciwnie poświęcenia, które są chwilowym wysiłkiem duszy, wyczerpują ją i są źródłem wszelkich niebezpieczeństw. Ideologowie popadają najczęściej w zwątpienie i apatję, uganiając się za czemś nadzwyczajnem, najczęściej nie zdziałają nic i marnieją bez korzyści dla siebie i dla drugich. W świecie moralnym, równie jak w świecie fizycznem, są pewne prawa, których ignorować nie można; każda dźwignia potrzebuje punktu oparcia, każda siła potrzebuje materji, aby się objawić mogła.

Otóż takiego punktu oparcia szukał dla siebie Józef za nim przystąpił do urzeczywistnienia dalszych i szerszych planów swoich. A najprzód urządził obszerny warstat, przyjął kilku zdolnych czeladników zamiejscowych, bo miejscowym cech niepozwolił pracować w jego warstacie — zakupił znaczny zapas materjału i postarał się o większe roboty. Przedtem jeszcze wyjechał był na kilka miesięcy za granicę, dla lepszego poznajomienia się z postępem rzemiosła swego i nabycia doborowych narzędzi. Pożyczka, jaką zaciągnął od jednego ze swych kolegów bez procentu, ze spłatą rozłożoną na lat kilkanaście, ułatwiła mu wszystkie te czynności, nie potrzebował się kłopotać zkąd wziąć pieniędzy, tylko na co je użyć, aby użyć korzystnie. Radził się w tym względzie ludzi doświadczonych, korzystał z książek traktujących o rzeczach jego fachu i wrócił do kraju z niemałym zasobem wiadomości i doświadczenia. Wziął się z zapałem do roboty a że znał dobrze swoje rzemiosło, był słownym w stosunkach ludźmi i umiał ujmować sobie podwładnych łagodnem i wyrozumiałem postępowaniem, więc zakład jego w przeciągu nie spełna jednego roku liczył się już do znaczniejszych w mieście. Cech irytował się tem powodzeniem człowieka, który bez jego pozwolenia śmiał prowadzić rzemiosło, i nie mogąc mu szkodzić otwarcie starał się pokątnie, gdzie tylko mógł, dokuczać mu i psuć interesa. Rozpuszczano pokątne wieści o skradzionych przez jego ojca

pieniądzach, za które, jak mówiono, synalek otworzył warstat; odmawiano mu czeladź i chłopców, psuto w nocy szyldy, wybijano okna. Nie można było o te wszystkie złośliwe czyny posądzać starszych cechu, ale ludzie nienawistni Józefowi korzystali z niechęci, jaką cech żywił dla nowego majstra, i pod jego protekcją dopuszczali się bezkarnie tych rzeczy i dokuczali niebezpiecznemu współzawodnikowi. Były nawet parę razy usiłowania podpalenia go, raz nawet znaczny zapas materjałów zniszczył w nocy gwałtowny ogień, sprawców jego znaleźć nie można było, jednak domyśleć się było nie trudno, że dopuścił się tego ktoś z tych, komu zależało na zniszczeniu go. Józef przetrzymał to wszystko. Uczciwem życiem i postępowaniem pełnem taktu i umiarkowania ubezwładniał złośliwe zamachy na swoją dobrą sławę i mienie; usilną pracą naprawiał szkody, jakie mu wyrządzano i przychodził do coraz większego wzięcia. Pomimo zabiegów swych nieprzyjaciół dostał kilka znacznych zamówień do publicznych budynków, które interesa jego postawiły na świetnej stopie.

Ugruntowawszy w ten sposób swoją osobistą egzystencję zabrał się do urzeczywistnienia dalszych planów swoich, a mianowicie chciał za pomocą stowarzyszeń podnieść zamożność i oświatę swoich współpracowników i towarzyszów. W chwilkach wolnych od pracy studjował on pilnie rozwój stowarzyszeń zagranicznych, badał stosunki miejscowe i rozbierał nieraz tę kwestję z ludźmi inteligentnymi. Brał się do urzeczywistnienia swych zamiarów ostrożnie, powoli i z rozmysłem, by przez zbyt porywcze i nierozważne postępowanie nie narazić na śmieszność instytucji, która tylu miała niechętnych. Ze wszystkich stowarzyszeń istniejących za granicą najwięcej zdawało mu się odpowiedniem na początek towarzystwo wzajemnej pomocy i dystrybutywne. Do pierwszego udało mu się namówić zaledwie kilkunastu czeladników. Żaden z majstrów nie dał się wciągnąć do tego, uważając sobie, za uchybienie należenie do towarzystwa, w którem niżsi od nich mieli używać jednakowych praw. Zawiązało się więc tylko stowarzyszenie czeladzi do wzajemnego wspierania się moralnego i materjalnego. Każdy przystępujący do zgromadzenia płacił wkładkę miesięczną, a za to miał prawo korzystania w razie nieszczęścia lub choroby z funduszów towarzystwa, otrzymywał bezpłatnie pomoc lekarską i lekarstwa, chwilową zapomogę lub pożyczkę, korzystał z wykładów urządzanych kosztem stowarzyszenia, brał udział w zabawach, które miały na celu wyrabianie towarzyskich cnót, ogłady i szlachetniejszych instynktów. Ale aby spełnić tak szerokie zadanie, jakie sobie towarzystwo założyło, wkładki kilkunastu czeladzi stolarskiej nie mogły być dostateczne, potrzeba było bardzo licznego udziału członków, żeby towarzystwo takie o własnych siłach, bez uciekania się do jałmużny istnieć mogło. Józef więc zmienił pierwotny plan i nie trzymając się wyłącznie jednego rzemiosła, usiłował wszelką czeladź rzemieślniczą wciągnąć do tego stowarzyszenia. Nie naruszało to w niczem interesów pojedyńczych rzemiosł, bo pomiędzy różnemi rzemiosłami zachodzi także pewna wzajemność interesów jak n. p. między ręką i głową. Kogo głowa boli, temu ręce nie bardzo zdolne do pracy. Stowarzyszenie więc takie nie było aglomeracją najróżnorodniejszych żywiołów, ale owszem pewną organiczną całością. Pomimo opozycji cechu czeladź dość chętnie zapisywała się do tego stowarzyszenia, wkładki bowiem nie były większe od tak zwanego suchedniówego, które dawniej do kasy czeladnej gospody opłacać musieli, a korzyści mieli daleko większe, gdyż cech zabezpieczał im tylko szpital i pogrzeb, a stowarzyszenie rozciągało swoją pomoc i opiekę na zdrowych i żyjących, pomagało im w pracy i w nieszczęściu, a nadto stowarzyszenie czeladników w tak znacznej liczbie stanowiło ich siłę, nadawało im pewne znaczenie. W cechu zgromadzenie czeladzi stało zawsze pod opieką majstrów, czeladnicy uważani byli za niepełnoletnich, nie mogli radzić o swoich potrzebach i los ich zależnym był od tych, którzy właśnie mieli interes trzymania ich w zależności. Stowarzyszenie wyswabadzało ich z tej narzuconej opieki i zależności, nadawało im pewną wartość i świadomość praw swoich i wyrobiło w nich poczucie samodzielności. Teraz i oni mogli dyktować swoje warunki i stali się przez to korporacją, z którą majstrowie rachować się i respektować musieli. Były to korzyści zbyt widoczne, uderzające w oczy nawet ludzi krótko widzących, i dlatego stowarzyszenie wzajemnej pomocy w krótkim czasie urosło do znacznej liczby. Żaden jednak z majstrów, jak powiedzieliśmy, do tego stowarzyszenia nie należał, owszem majstrowie robili nawet energiczne usiłowania, aby rząd stowarzyszenie to rozwiązał, jako instytucję przeciwną porządkowi, podżegającą podwładnych do buntu i nieposłuszeństwa. Ale rząd nie przychylił się do żądania cechu, gdyż statuta stowarzyszenia nie zawierały nic przeciwnego ustawom i były przez rząd potwierdzone.

Zachęcony takiem powodzeniem Jan przystąpił niebawem do zorganizowania stowarzyszenia dystrybutywnego tj. do zakupowania materjałów z pierwszej ręki. Tu już ograniczyć się trzeba było na jednem rzemiośle raz dla tego, że zakupowanie materjałów wymagało specjalnej znajomości, a powtóre, że potrzeba było znaczniejszych kapitałów. Józef więc do tego stowarzyszenia szukał członków tylko między ludźmi swego fachu. Przyszło mu to z trudnością z początku i zaledwie kilku fabrykantów, jakiś kapitalista i paru majstrów, którzy się poróżnili z cechami, przystąpili do stowarzyszenia. Stowarzyszeni rozporządzali bardzo małemi kapitałami i przez to czynności ich ograniczały się na bardzo małym zakresie. Wnet jednak Józef postarał się o kupienie jakiejś części lasu i w ten sposób członkowie nie tylko mogli zaopatrzyć się w materjał po nadzwyczaj niskiej cenie, ale jeszcze sprzedawać go w większej ilości rzemieślnikom nie należącym do stowarzyszenia, rozumie się po znacznie wyższych cenach. Pod koniec roku byli w stanie zwrócić pożyczkę w kasie zaliczkowej, a nadto okazała się znaczna dywidenda. Wiadomość o tak świetnym rezultacie wnet rozeszła się po warstatach, wielu majstrów przystąpiło do stowarzyszenia znęconych nadzieją tak widocznych zysków. Tylko najzaciętsi trzymali się uparcie zdaleka od stowarzyszenia i okiem pełnem nieufności i zawiści poglądali na jego postępy. Były to resztki starej średniowiecznej instytucji, kapłani starego bożyszcza cechu, którzy woleli zginąć marnie przy odbieranych i zaniedbanych ołtarzach zbutwiałej tradycji, niż pokłonić się nowemu bogowi, postępowi. Marnieli z przekleństwem na ustach dla nowego porządku i jego apostoła, utyskując na przewrotność świata i zepsucie.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Nie jest dziś żadną osobliwością, że czy u urzędnika, czy u obywatela, księdza, rzemieślnika, studenta, znajdujemy Dorego biblję w niemieckiem lub polskiem wydaniu. Na każdym prawie kroku spotykamy w domach inteligentnych berlińskie ilustrowane wydania Schillera i Göthego; znachodzimy albo Don Kiszota albo Boską komedję z ilustracjami Dorégo; Postacie kobiece z Göthego i Schillera przez Kaulbacha, Goldelse Marlitta, Barfüssele Auerbacha lub dzieła Szekspira z ilustracjami; słowem spotykamy ciągle ilustrowane wydania prozy lub poezji.

Wydawcy warszawscy, odkąd w ich pismach zaczęły się pojawiać doborowe drzeworyty, nie mogą się także skarżyć na obojętność publiczności; Kłosy, Tygodnik Ilustrowany, Wędrowiec, mają liczne koło czytelników. Fotografje z utworów Grottgera, znajdują się w rękach wszystkich.

Czyż te objawy, można poczytać za obojętność publiczności dla ilustracji? Przeciwnie, są one oznaką zainteresowania się i smaku.

Czy prenumerowanie ilustrowanych wydań niemieckich jest objawem obojętności na rzeczy polskie? Bynajmniej! Jest tylko oznaką braku dobrych ilustracyj do poetów naszych, a po drugie oznaką stosunkowej taniości wydań zagranicznych.

Pomijając nawet ten ostatni wzgląd — zastanówmy się tylko nad brakiem dobrych wydań.

Te, jakiemi nas dotąd darzyli wydawcy i artyści, są albo co do wykonania typograficznego nędzne—albo też co do wykonania artystycznego ilustracyj do nich załączonych—nie wytrzymujące najlżejszej krytyki. Mówię w ogóle, bo jak wszędzie tak tutaj znajdują się zaszczytne wyjątki.

Artyści nie rozumieli czem może i powinna być ilustracja poety, i w skutek tego albo usuwali się od wydawnictw, albo też darzyli nas ilustracjami—byle zbyć. Takie lekceważenie ilustracyj wyszło wszystkim na złe, wydawcom, artystom i publiczności. Publiczność odsunęła się i zniechęciła; wydawcy osiedli na lodzie, a artyści otuliwszy się w Cezarów płaszcz pod ciosami krytyki, złożyli ołówek i powiedzieli: „Nie warto ilustrować.“ Zapewne! jeżeli macie panowie ilustrować poetów tak jak dotąd, to lepiej nie ilustrować.

*

Ale przejdźmy do szczegółów, tj. do tej niewielkiej liczby wydań ilustrowanych jakie posiadamy.

Najwcześniej sparodjował Mickiewiczowskiego Konrada Wallenroda i Grażynę p. K. Tysiewicz, wydawszy poematy te ze swemi ilustracjami i z dołączeniem tłumaczenia angielskiego i francuskiego, w Paryżu r. 1851 w wielkiej 8ce. Nie będę rozbierał tych ilustracyj, bo im brakuje najgłówniejszych warunków dobrej ilustracji, mianowicie odczucia poety i poprawnego rysunku.

Nieszczęśliwa Marja Malczewskiego doczekała się karykaturzysty w osobie p. M. Fredry, który u B. M. Wolffa w Petersburgu w r. 1857, ogłosił w wydaniu miniaturowem Marji swoje ilustracje. Gdyby kto chciał zdyskredytować i ośmieszyć poetę, nie mógłby tego lepiej dokonać jak p. M. Fredro swojemi rysunkami.

W r. 1857 wydał w Petersburgu nakładca B. M. Wolff zbiorowe dzieło pt. Plejada Polska, w którem między innemi pomieścił „Wiesława" Brodzińskiego; „Sobótkę" Goszczyńskiego; „Jana Bieleckiego" Słowackiego z ilustracjami w tekście. Było to jak na owe czasy wydawnictwo dość ozdobne i dość tanie; chociaż wykonanie drzeworytów, zwłaszcza sam druk tychże jest bardzo lichy.

„Wiesława" ilustrował p. M. Fredro i Fr. Kostrzewski. Prócz kilku większych tekstowych rysunków, zapełnione jest to wydanie rysunkami winietowemi i brzegowemi pełnemi fantazji, a ilustratorom widocznie nie szło o oddanie rysunkiem duchowego procesu głównych bohaterów, ale o akcesorja powieści. To też ilustracje te, jakkolwiek udatne, mijają się z właściwym celem: odtworzenia poety.

Inną cechę mają ilustracje Kossaka do „Jana Bieleckiego." Tu nie chodziło artyście o akcesorja, ale o przedmiot poematu. Mamy więc i Starostę samego i wobec Tatara; mamy ślub Bieleckiego i cerkiew i cmentarz, słowem wszystkie najważniejsze sceny poematu, tylko, że wykonane tak od niechcenia i bez wyrazu, że obok poematu te ilustracje są nieme; ani zająć ani zadowolić mogą widza.

L. Straszyński znalazł w „Sobótce" Goszczyńskiego szerokie pole do popisania się ze swoją fantazją, zwłaszcza w rysunkach winietowych i brzegowych, cóż kiedy one wszystkie rażą niepewnym rysunkiem i brakiem troskliwości w wykończeniu.

Tenże B. M. Wolff wydał „Pamiętniki Benedykta Winnickiego" Pola z ilustracjami Kossaka w r. 1857. Gdyby rysunki i drzeworyty według nich wykonane, były robione troskliwiej i sumienniej, moglibyśmy je nazwać udatnemi i bardzo stosownemi do ludowego wydania poety.

A teraz zajmę się wydaniami innego nakładcy, który obdarzył nas szeregiem wspaniale drukowanych wydań w 4ce. Mówię o Żupańskim. Niestrudzony ten nakładca, czynny gdzie inni opuścili ręce, jest jednym z najzasłużeńszych księgarzy w kraju, i dla tego właśnie przykro mi, że o większej części jego ilustrowanych wydań muszę się niepochlebnie wyrazić. Wina jednak, że ilustracje jego wydań nie odpowiadają celowi i nie wytrzymują krytyki, spada nie tyle na chętnego wydawcę, ile na artystę, któremu zaufał.

Z ilustrowanych wydań poetów najpierwej, bo w r. 1861, pojawiło się „Zachwycenie i Błogosławiona" Lenartowicza, z ilustracjami Antoniego Zaleskiego, wykonanemi na miedzi. W sześciu rysunkach, włącznie z kartą tytułową, artysta tak umiał wżyć się w ton ludowej opowieści, że jego rysunki bardzo dobrze wtórują słowom poety. Patrząc na te ilustracje pomyślałem: jeżeli nas Żupański i dalej takiemi wydaniami obdarzać będzie, zyskamy prześliczne dopełnienie poetów.

Z tych pięknych myśli przebudziło mnie następne wydanie „Pani Twardowskiej" w roku 1863 znów z ilustracjami Antoniego Zaleskiego. Pięć rysunków do tej ballady, przekonało mnie, że artysta zupełnie nie pojął postaci Twardowskiego i z poematu Mickiewicza zrobił farsę, dość niesmaczną. Dobrze, że te ilustracje są zamieszczone przy wydaniu pani Twardowskiej, gdyż inaczej nikt by się nie domyślił, że postać oddana na rysunkach ma być Twardowskim. Artysta przedstawił — wyrażając się technicznie — „szlagona" z taką głupowatą twarzą, wytrzeszczonemi oczami i fizjonomją pijacką, że nikomu przez myśl nie przejdzie widzieć w tej wstrętnej kreaturze „czarnoksiężnika" Twardowskiego. Postać taka względnie podania i względnie poezji jest anachronizmem—i dziwić się należy, że artysta tak wykształcony jak Antoni Zaleski mógł go popełnić.

(D. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Dokończenie.)

Zbadany dotąd kraj okazał się nieodpowiednim pod trasę, wypadało przeto dalej prowadzić poszukiwania. Obraliśmy z powrotem nowy kierunek, na zachód od poprzedniego, przez Lidżesi i Kara-Giöl-giryk, którędy przechodzi letnia droga, trudna do przebycia w ciągu czterech czy pięciu miesięcy zimowych, dla głębokich śniegów leżących na wyżynach. Jeżeli nie na wierzchołkach, to przynajmniej na stokach gór spodziewaliśmy się znaleźć odpowiedniejsze miejsce na nową drogę.

Nazajutrz słońce było już wysoko, gdyśmy opuszczali niewesoły Kara-Hissar. Dopiero za rogatkami znikło przygniatające wrażenie spowodowane widokiem dzikiej gmatwaniny wąskich uliczek i szarych kletek, gramolących się jedne na drugie. Kwitnące ogrody i zieleniejące pola, z mnóstwem kwiecia barwistego, a nad tem błękit nieba z pływającemi po nim ogromnemi sępami i orlami wraz z dźwiękiem śpiewu skowronka — zacierały niemiły obraz miasta, otwierając czarujące ramy krajobrazu wschodniego.

Im bliżej byliśmy Lidżesi, tem wynioślejsze stawały się góry, a dolina coraz zieleńsza z huczącą na dnie jej rzeczułką, nabierała prawdziwie fantastycznych kształtów. Uprawa delikatnych roślin po polach jak bawełna i sezam, tudzież ogrody owocowe jaśniejące kwiatem granatu, zielenią liścia migdałów i fig, świadczyły o zamożności kraju, chociaż mieszkańcy jego lubią skarżyć się na wieczne ubóstwo. Najlepszym dowodem, że ubóstwa prawdziwego tutaj nie ma, mimo próżniactwa, jest powszechnie panująca gościnność. Wielka ta cnota jest przymiotem nie tylko Turków ale i chrześcijan. Zaledwo zatrzymaliśmy się w miasteczku, składającem się z kilku uliczek, a już stanął przed nami pewien kupiec, Ormjanin, znajomy kapitana, i najuprzejmiej zapraszał nas do siebie na objad. Stosując się do zwyczaju miejscowego, przyjęliśmy zaprosiny i całym taborem rozstasowaliśmy się na popas w jego domu.

Nasz gospodarz był prostym przekupniem, dostatek jednak i wytworność urządzenia domu wyróżniały korzystnie jego mieszkanie od innych. Objad składał się z potraw zakrawających na europejskie, chociaż jedliśmy siedząc na ziemi jak nakazuje powszechny zwyczaj wschodni. Podczas jedzenia zjawił się jakiś Turek, który wedle zwyczaju nie zważając na niestosowność pory i nie krępując się niczem usadowił się na sofie i zaczął nas ciekawie wybadywać. Ciekawy ten gość był jednym ze znakomitszych obywateli miasteczka, bywalec i wielce uczony, jak to po cichu nam podpowiedziano. Bystro latające oczki zielone, rudy zarost na twarzy i ożywiony jej wyraz, napiętnowany samochwalstwem i nieomylnością, czyniły z niego jeden z ciekawszych typów Turka postępowego, który pozorną nauką europejską i stosunkami, sprytnie wyzyskuje swoje stanowisko na korzyść własną. Na wstępie tedy oświadczył, że wie oddawna o celu naszej wyprawy, będąc o tem powiadomionym ze Stambułu, i życzyłby sobie aby plan drogi wozowej istotnie przyszedł do skutku; lecz sądząc z usposobienia mieszkańców, widzi nie jedną trudność przed nami. Naturalnie drogoman nasz nie czekając rozkazu, na własną rękę począł kreślić cudne obrazy, aby przekonać wszystkich obecnych krajowców, którzy powoli zaczęli napełniać pokój o dobrodziejstwach nowej drogi.

— Ale któżby nie wierzył słowom twoim duszko! — mówił rudy effendi — nie potrzebujesz nas przekonywać o tem; inna wszakże rzecz z narodem tutejszym, który jest nieokrzesanym. Są to prawdziwi Turcy*), barbarzyńcy. My wiemy co to „pajton" (faeton, powóz), co to szampańskie, co to nauka a la franka; znamy się na wszystkich sztuczkach — a baletniczki, baletniczki! — poh! poh! — i tu wywróciwszy oczy zaczął dmuchać i ważyć trzema palcami w powietrzu, jakby istotnie jedną z tych powietrznych istot miał w ręku. — Dobra delikatność europejska, tylko nie dla naszego narodu, któremu wystarczają osły i fasola. Walla!

Śmiech całego audytorjum odpowiedział na koncept effendego, przyczem nasz tłumacz powinszował mu jego nauki.

— Twoja pochwała jest dla mnie zaszczytem. Allach niech rozciąga jednakowo swoją opiekę nad nami! Widziałem istotnie wiele w mojem życiu i nie mało też przeczytałem ksiąg rozumnych. Znam „gramer" (gramatykę francuską) i na pamięć prawie umiem historję o Robinsonie. Musiałeś czytać tę historję? Nie ma wątpliwości, że jest to najpiękniejsza książka na świecie. Gazety także czytuję. Ale o tem tutejsi ludzie żadnego pojęcia nie mają — tu zmierzył pogardliwem spojrzeniem swoich spółobywateli i dodał z przyciskiem: — pozostawiają oni to nam, obcym....

— Nie jesteś więc tutejszym?

— Tak jest, pochodzę po matce z Kara-Hissar — zakończył z dumą uczony effendi.

---

*) Turcy nie nazywają siebie Türk (Turkami), ale Osmanlisami; pierwsze bowiem nazwisko odpowiadą np. kacapowi lub chachłowi i wyłącznie stosuje się do pastuchów „Turkomanów."

Panującą słabością na Wschodzie jest ganić swoje miejsce pobytu; wywiązała się ztąd potrzeba, dla podniesienia godności osobistej wynajdywania sposobów pozakrajowego pochodzenia; ale teorję obcokrajowstwa po kądzieli, po raz pierwszy usłyszeliśmy w Lidżesi. Przybycie władzy powiatowej in gremio na nasze powitanie, przerwało dalsze studja nad tą kwestją. Władza na znak głębokiej atencji dla nas, nadzwyczaj energicznie ciągnęła ustami pijąc kawę, nakłaniała się rękami bez liku, wypaliła sakramentalne fajki i niemniej prędko wyniosła się, jak przyszła, powiedziawszy zaledwo kilka „tak“ i „nie“. Jeżeli wykonywanie urzędu należy w Turcji do rzeczy podrzędnych, za to znajomość etykiety urzędowej bywa studjowaną i przestrzeganą z największą skrupulatnością. Każdy turecki urzędnik uczy się jak pacierza urzędowych komplementów, i jak najlepszy aktor na scenie zna miarę w uginaniu karku i odpowiedniem machaniu lub składaniu rąk. Gdzie treści nie ma, tam forma musi ją zastąpić.

Gościnność wschodnia nosi na sobie cechy starotypowej monotonności, radzi też byliśmy chwilę pożegnania przyspieszyć; ale ponieważ słońce mocno przypiekało, wyjechaliśmy zaledwo około trzeciej po południu. Nocleg dzisiejszy mieliśmy spędzić w fabryce górniczej, noszącej nazwę „Pawlika“ powstałej z przekręcenia wyrazu — fabryka. Chociaż cuda opowiadano nam o tym zakładzie, nie koniecznie wierzyliśmy temu, mierząc wszystko łokciem tutejszym.

Dolina po której droga nasza przechodziła, przy całej jałowości i dzikości swojej, na każdym kroku zdradzała wielkie bogactwa mineralne. Na samej drodze spotkaliśmy fabrykę ałunu, tj. szopę malutką z kotłem wewnątrz i cembrzyną na ropę ałunową. Kilkoro ludzi krzątało się koło szopy, między nimi i gospodarz, Ormjanin. Materjału jest tyle pod ręką, że wystarczyłoby go na kilka olbrzymich fabryk; brak atoli drogi do morza, czyni nieprodukcyjną eksploatację tego produktu na większą skalę, i ta jedna fabryka wystarcza na miejscowe potrzeby. Właściciel uskarżał się, że w okolicach bliższych morza nie może wytrzymać konkurencji z ałunem amerykańskim. Jest w tem coś podobieństwa do nafty galicyjskiej. Widząc na każdym kroku ślady dzikiej gospodarki tureckiéj, w wieku tak racjonalnym jak nasz, mimowoli nasuwa się myśl: zkąd przychodzi kapitalistom europejskim ochota angażować tutaj swoje kapitały? Zdaje się, że wygórowane zyski, któremi cieszą się chwilowo, nie nagradzają ich za zupełne bankructwo, wiszące jak miecz Damoklesa nad strupieszałem państwem półksiężyca.

Do rzędu pożałowania godnych przedsiębiorstw trzeba także Pawlikę zaliczyć, do której zbliżyliśmy się z zachodem słońca. Dróżyna wąska wykuta w skale dla jucznych bydląt, prowadziła nas do tego przybytku Plutusa, wyglądającego po wierzchu wcale imponująco jak na Azję. Dwa piece o wysokich kominach nadawały mu złudnego pozoru zakładu europejskiego. Zachwiało to nieco nasze uprzedzenie i natchnęło pewnym szacunkiem dla gospodarzy.

Właściciele zakładu pp. S., Ormjanin i A., Grek, bogacze peroccy, przyjęli nas z rozczulającą serdecznością. Wzrok ich przymilający się błąkał po naszych twarzach, a usta układały się do słodkiego uśmiechu. Głos i ruchy były odpowiednio ułożone. Słowem, patrzącemu z boku mogłoby przyjść do głowy, że ci panowie zakochali się w nas. Europejczykowi świeżo przybyłemu na Wschód, prawdziwie mogłoby zakręcić się w głowie od nieustającej procesji, która deptała nam po piętach na każdym kroku, od usług najrozmaitszych, od komplementów nieustających — lecz my byliśmy z tem wszystkiem obyci i wiedzieliśmy, że na tem polu nie ma linji demarkacyjnej popisom wschodniej grzeczności, waga uprzejmości nadzwyczajnej leżała w czem innym, a to w troskliwości sentymentalnej, wyrażanej niekiedy z czułością Malczewskiego Wacława dla Marji, i zaprosinach przedłużenia pobytu na Pawlice, jakby to od nas zależało. Byłoby to wszystko bardzo pięknem u naszych bogaczy, gdyby płynęło z serca, ale po za tem spoczywał interes; pragnieniem ich bowiem najgorętszem było, byśmy poprowadzili projektowane drogi przez fabrykę.

Atmosfera czułości nie przeszkadzała nam wszakże podziwiać ze szczególnem uczuciem patrjarchalnych sposobów używanych w fabryce. Pobudowano np. piece, z Europy sprowadzone, stosownie do wymagań nauki nowożytnej, ale te stały nieużywane; zamiast nich wytapiano kruszec w zwykłych kotłach ogrzewanych drzewem, które rozdmuchiwały miechy kowalskiej. Inżynier bowiem Niemiec, uczeń drezdeńskiej górniczej akademji, pobudował owe piece na węgle kamienne, zapomniawszy wpierw węgla poszukać; drzewo wskutek tego paliło się w nich jak słoma, a wydatek kruszcu był mniejszy. Przekonawszy się o tem, właściciele odprawili uczonego Niemca, a straciwszy na tej próbie około stu tysięcy złr. tak zrazili się do nauki, że odtąd prostego górnika, Greka, zrobili dyrektorem robót technicznych. Zaimprowizowany inżynier z chłopa, z przebiegłością właściwą wschodnim mędrkom, gospodarzył w kopalni jak szczur w serze, robiąc dziury i galerje stosownie do upodobania albo na chybił trafił. Czy dziwić się potem, że wydobywanie najprzedniejszej galeny, wydającej przeszło 80% ołowiu, nieco srebra złota i emalji naturalnej (silicat de plomb) — nie tylko korzyści nie przynosiło, ale przerażające straty co roku pomnażało? Radziliśmy na to aby produkcję metalu znacznie powiększyć, ponieważ przy zwiedzaniu kopalni przekonaliśmy się, że dałoby się to z łatwością uskutecznić. Ale jąkanie się właścicieli dowodziło widocznie, że próby tej przedsięwziąć nie chcą; traf przytem chciał, że Halil-czausz, mógł się wtrącać do rozmowy, którą musieliśmy prowadzić w języku tureckim z powodu nieznajomości gospodarzy języka francuskiego. A że każdy Turek z urodzenia jest dyplomatą, czausz przeto usiłował osłabić wrażenie, pochodzące z niemożebności pokonania przeszkód w gospodarce górniczej, i pocieszał temi słowy:

— Niech Allach da nam zdrowie tylko. Co się jednego dnia nie zrobiło, to się na drugi dzień dopędzi. Pomaluśku! pomaluśku! „Cierpliwość jest kluczem do szczęścia“. Im dłużej ołów twój poleży w ziemi, tem więcej będziesz miał w nim srebra i złota. Wprawdzie wy chrześcijanie w to nie wierzycie, bo żaden z waszych proroków tem się nie zajmował, ale my inaczej myślimy, i podanie święte o tem nas poucza. Wszyscyśmy dziećmi jednego Boga!

Teorja przeobrażenia się nieszlachetnych metalów na szlachetne, znajduje się podobno w Koranie i jest głęboko zakorzenioną pomiędzy Turkami. Jej to podobno zawdzięcza Turcja, że W. Porta tę gałęź gospodarki państwowej zupełnie zaniedbuje. Zakątek tutejszy tymczasem doczeka się jakichś rządów ormiańskich lub greckich, i istotnie wyda wtedy bez porównania obfitszy plon złota, pieniędzy....

Dalszą podróż odbywaliśmy nazajutrz po dolinie równoległej do doliny Kiumbet-deressi, i mieliśmy z jednej strony Kiumbet a z drugiej wyżyny Kara-Giöl-giryk z morskiem okiem i miasteczkiem tegoż nazwiska. Kraj był bezleśny, pokryty pastwiskami. Po drodze pierwszego dnia prócz jednej jaile i nędznej wioski nic nie spotkaliśmy. Miasteczko zostawiliśmy na górze, i posuwaliśmy się dolinami, aby wpaść na koryto rzeki Ak-Su. Zbyt póżno wyjechaliśmy z „Pawliki“, noc więc zaskoczyła nas w drodze.

Jechaliśmy w góry na nocleg, do jakiejś małej wioseczki w pobliżu. Przeprawiwszy się przez most wiszący nad przepaścią, na dnie której ryczał potok górski, wdrapywaliśmy się wśród największych wysileń po stromej skalistej spadzistości, okrytej wiekowym lasem. Byliśmy już niedaleko wierzchołka i las się zaczął przerzedzać, gdy nagle z boku rozległ się huk strzałów i kule gwizdnęły po nad naszemi głowami. Karawana zatrzymała się i jak makiem posiał na około.

Ciszę złowrogą przerwał nagle Agop.

— Nie bójcie się! nie bójcie! Musa z nami.

Na ten wykrzyknik jakby na zaklęcie, pomknęli naprzód żandarmi, i wkrótce cała rzecz wyjaśniła się bardzo pokojowo. Strzały pochodziły od Turków, myśliwych ze wsi, do której na nocleg jechaliśmy; była to zasadzka na niedźwiedzia, co przywykł pod noc napadać na bydło pasące się po ogrodach. Niedźwiedź uszedł wprawdzie cało, ale z innej strony nastręczył nam sposobność przekonania się o wysokiej wartości opieki zacnego Musy, który potrafił wlać ufność nawet w walecznego Agopa. Po tym wypadku wydostaliśmy się z lasu, a parobcy Turcy którzy strzelali, poprowadzili nas do wsi.

Nocleg ten dał nam poznać w całej pełni gościnność turecką. Nie zważając bowiem na to, że już wszystko poukładało się do snu, zaledwośmy nogę postawili we wsi, wszędzie ognie zapłonęły i wkrótce zaczęto znosić do nas najrozmaitsze potrawy. Mleczne potrawy z ryżem, z zieleniną, gruszki suszone w miodzie, jaja smażone na miodzie, pilaf i rozmaite inne przysmaki, wprawdzie nie mięsne, zmieniały się jedne po drugich. Gospodarz nasz posługiwał nam jak służący: podawał wodę do mycia rąk, zmieniał misy, układał poduszki i stał u drzwi w pokornej postawie, chociaż był najmajętniejszym z całej wsi. Nazajutrz zrana przyniesiono nam sagany mleka słodkiego i znowu jakieś potrawy. A za całą tę ucztę nietylko nikt grosza nie zażądał, ale gdyśmy po kryjomo wetknąć chcieli pieniądze, nikt ich nie przyjął. Byliśmy gośćmi, podróżnymi, a jako od takich, religja muzułmańska wzbrania brać jakiekolwiek wynagrodzenie. Dom zaś, w którym nocowaliśmy, był tak zwaną „musafir odassi“ (gościnny), a gospodarz nasz przyjął obowiązek podejmowania gości w sukcesji po przodkach. W Anatolji, po wsiach, zwyczaj ten utrzymuje się dotąd w pełni. Bez grosza puszczają się muzułmanie z jednego końca swej ojczyzny na drugi i wynoszą z tych podróży cześć dla prawodawcy, co ten zwyczaj uświęcił, oraz miłość i braterstwo dla swoich spółwyznawców.

— Cnoty dzikich, efemeryczne! — mruczał p. Abricot na odjezdnem — tak wątłe jak po-

karm, którym żywią się, jest to cacko nie wytrzymujące krytyki pozytywnej....

Mieliśmy jeszcze dwa dni drogi wśród muzułmańskiej ludności, a wszędzie jednakowo gościnie byliśmy podejmowani. Przestrzeń kraju, którą mieliśmy do przebycia, była górzysta i lesista. Przerżnęliśmy w poprzek pierwszego dnia koryto rzeki Ak-su, powyżej Demir-Baszi i przez wieś i jailę Kułak-Kaja dostaliśmy się w dolinę rzeki Batlamy, wpadającej w morze o jakie ćwierć mili na zachód od Kierasundy. Dolina ta pokryta orzechowemi ogrodami, ciasna, najeżona skałami — o ile była malowniczą, o tyle okazała się niepraktyczną pod drogę; a ponieważ słońce było wysoko, gdyśmy wyjechali nad morze, posunęliśmy przeto nasze poszukiwania jeszcze więcej na zachód brzegiem morskim ku przylądkowi Aja-Wasil, najwięcej wybiegający koniec, którego ozdobą była większa rezydencja Paaszybeja. Sposobność oglądania większego gospodarstwa wiejskiego w tych stronach oraz chęć poznania samego beja, uchodzącego za wielkiego arystokratę pomiędzy Turkami, nakłoniły nas do odwidzenia dworu w Aja-Wasil.

Wąsko brukowana droga prowadziła nas na obszerny dziedziniec, opasany żywym płotem. Na lewo od wjazdu na zielonym trawniku wznosiła się biała „dżamija" z niewysokim minaretem, a tuż koło niej inny budynek biały, szkoła wiejska; nieco dalej stał dom mieszkalny parterowy, przypominający nasze staroświeckie dwory drewniane, gdyby nie „kafesy" w oknach i grzmiące morze u podnóża skały, na której stało całe obejście. Gospodarz przyjął nas w swoim apartamencie, czyli tak zwanym „selamliku". Powagę wszakże przyjęcia tureckiego naruszył kapitan, dobry znajomy beja, mówiąc na wstępie:

— Masz trawę? masz wodę? jesteśmy twoimi gośćmi.

— Wszystko na wasze rozkazy, kochany ajencie! — odpowiedział śmiejąc się głośno gospodarz, który znał stereotypowy frazes naszego wojaka.

Paasza mógł mieć około czterdziestu lat i wcale inteligentnie wyglądał, przyczem dobrze jakoś odbijała giętkość wyższego tureckiego świata, połączona z pewnym rodzajem rubaszności wojskowej. Znać było po nim człowieka zajmującego wpływowe stanowisko społeczne. Cała wieś Aja-Wasil i kilka innych pobliższych osad tureckich, uznawały w nim pewien rodzaj patrjarchalnej władzy i dawały mu plenipotencje do załatwiania wszelkich spraw w urzędach. Wpływy te swoje dzierżył dziedzicznie po ojcu, słynnym niegdyś „dere-beju", utrzymując je stale wybudowaniem świątyni i szkoły na swym dziedzińcu. Byli tacy, co sarkali na tę jego przewagę, ale mimo to, gdy wypadł jaki ważniejszy interes osobisty lub gminny, każdy udawał się do niego. Władze rządowe nawet przywykły były do jego wpływowego stanowiska i z wielkim respektem odnosiły się do niego.

Zaledwośmy kawę urzędową wypili, bej zaprosił nas z sobą i począł oprowadzać po swojem gospodarstwie, do którego wprowadził rozmaite innowacje europejskie, chociaż po turecku pojęte i wykonane. Polowa gospodarka była całkiem zaniedbaną, a wszystkie siły zestrzelono ku podniesieniu ogrodów warzywnych i owocowych, które w istocie miały niejakie podobieństwo do europejskich. Najciekawszą jednak była mała okrągła baszta na środku dziedzińca, z wąskiemi strzelnicami. Przed laty kilkudziesięciu z tej baszty, ojciec Paaszy śledził ruchy korsarzy morskich i w razie napadu bronił się w jej wnętrzu ukryty. Dziwne przytem opowiadania słyszeliśmy o życiu całej tej prowincji za tamtych czasów, które tak świeżo jeszcze tkwiły w pamięci wielu żyjących ludzi.

Całe wybrzeże Czarnego morza było według podania widowiskiem nieustających rozbojów morskich, połączonych z napadami, nietylko na pojedyńcze osady ale i całe miasteczka. Derebeje rządzili wtedy krajem i każdy miał swoją partję, z którą urządzał wyprawy nocne, nie tylko po majątek, ale także po kobiety, dziewczęta i chłopców, których następnie sprzedawano handlarzom niewolników. Nie zawsze wojsko mogło pokonać tych potentatów, i często rząd wchodził z nimi w układy, uznając uzurpowaną władzę bejów. W Kierasundzie mieszkał żyjący pomnik tych czasów, Achmet-bej, który na własną rękę powiesił około trzystu korsarzy, łapiąc ich przy pomocy swych ludzi. Kierasunda, Trypolis (Tireboł), Bułandżak, Ordu, były w ciągłej wojnie z sobą, a dere-beje, stosownie do swych sympatyj lub widoków, łączyli się z niemi. Niktby nie uwierzył temu, widząc dzisiejszy porządek na wybrzeżu; ale niech trochę posłucha opowiadań miejscowych a przekona się, jak świeżo zgasł tu wulkan najdzikszych namiętności ludzkich.

Miało się ku wieczorowi, gdyśmy pożegnali Paaszę; ale żeśmy byli znużeni, przyjęliśmy więc chętnie propozycję powrócenia morzem. „Kaik" duży zabrał nas, a Turcy płynąc z nami, opowiadali o dzisiejszej biedzie swojej i jeden z nich przeciągle zaśpiewał pośród ciszy nocnej:

— Aman! aman! lepsze były dawne czasy.

Z brzegu na to odpowiedziało skomlenie szakalów i wycie psów, a z miasta doleciała do nas zwrotka Marsyljanki, której odpowiadały lubieżne westchnienia morza.... Tak skończyła się nasza wycieczka.

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Z opowiedzianego wyżej zmęczenia włókien nerwowych przez długotrwałe ich podrażnienie wypływa, że zawsze pierwsze wrażenie barwne jest najprawdziwszem i najpiękniejszem, gdyż przy dłuższem trwaniu tego wrażenia nerwy się męczą i słabiej je uczuwają. Tak opowiada Chevreul, że dama wszedłszy do sklepu bławatnego, zażądała materyj czerwonych, które kolejno oglądała, — oświadcza wtedy, że pierwsze pięć lub sześć tkanin okazują barwę daleko żywszą niż pozostałe, podczas gdy koniec stanowczo twierdzi, że zabarwienie wszystkich jest zupełnie jednakie. Obecny przytem przypadkowo fizyk polecił przedstawić nabywającej szarą tkaninę i prosił ją o spoglądanie, na takową przez kilka minut, — poczem oświadczyła natychmiast, że dalsze materje posiadają barwę zupełnie tegoż samego blasku, co pierwsze.

Spoglądajmy przez pewien czas na kwadrat czerwony na białem polu, — skoro kwadrat usuniemy, zobaczymy natychmiast w tem samem miejscu takiż sam kwadrat w barwie dopełniającej, to jest w tym razie, zielono-niebieskiej. I ten barwny obraz następny jest objawem zmęczenia nerwu wzrokowego. Te miejsca siatkówki, na które przypadał obraz kwadratu, zostały przytępione, znieczulone chwilowo dla wrażeń czerwonych; skoro przeto po usunięciu barwnego przedmiotu, oko zostaje uderzone białemi promieniami wysyłanemi przez tło, to przez pewien czas doznaje ono tylko wrażenia pozostałych części składowych barwy białej, to jest barwy dopełniającej względem pierwszej. W ten sam sposób kwadrat żółty wywołuje obraz następczy indygowobłękitny i nawzajem, kwadrat fijoletowy obraz zielono-żółty i nawzajem, kwadrat cyanowoniebieski obraz następny pomarańczowy i nawzajem. Obrazy następcze zielononiebieskie mamy często sposobność widzieć, gdy spoglądamy na czerwono zachodzące słońce; w którąkolwiek się wtedy zwrócimy stronę, prześladują nas owe znane koła niebieskozielone, które giną stopniowo, przechodząc przez różne barwy. Badanie obrazów następczych, jak w ogóle wszelkich zjawisk barwnych podmiotowych czyli fizjologicznych, jest dla oczu bardzo niebezpiecznem; zjawiska te zresztą stają się istotnie wyraźnemi i pięknemi dopiero wtedy, gdy oczy już cierpieć zaczynają. Dwóch fizyków, którzy się temu badaniu z całą gorliwością i poświęceniem oddawali, z własną szkodą przekonali się o jego niebezpieczeństwie: Plateau z Genewy, który przeprowadził słynne doświadczenia nad kształtami, jakie przybiera ciecz jedna w innej, tejże samej gęstości, zaniewidział zupełnie, a nie mniej zasłużony Fechner z Drezna zmuszonym był pięć lat (1839—1843) przepędzić w ciemnym pokoju, aby temuż samemu nie uledz losowi. Ritter zmuszał się do patrzenia na słońce, przez sztuczne otwieranie powiek; jeszcze po 24 dniach miał miejsce w oku, na którem wszystkie barwy żółte, czerwone i czarne wydawały mu się błękitnemi, a niebieskie i białe żółtemi; z początku nawet ogień wydawał mu się niebieskim i dopiero po wielu tygodniach zginęły te objawy zmęczenia nerwów.

Że wrażenie barwne stopniowo traci na natężeniu, okazuje wyraźnie następne doświadczenie: Spoglądamy przez pewien czas na kwadrat czarny umieszczony na barwnem tle, następnie, nie odwracając oczu, usuwamy go na stronę; jakkolwiek część tła, zakryta poprzednio kwadratem, jest zabarwiona zupełnie tak samo, jak i pozostałe pole, to jednak na miejscu usuniętego kwadratu ujrzymy kwadrat, wprawdzie tej samej barwy co reszta tła, ale daleko jaśniejszy i bardziej nasycony. Część bowiem siatkówki, która była zajętą przez obraz czarnego kwadratu, jest niezmęczona i czuje wrażenie barwne żywiej niż pozostała część siatkówki, zmęczona już barwnem wrażeniem. Utrata nasycenia barwy jest bezpośrednim następstwem zmęczenia właściwych włókien, gdyż w miarę powiększania się tego zmęczenia występuje coraz wyraźniej słabe działanie danej barwy na włókna dwu innych kategoryj, a działanie to łącznie z wrażeniem otrzymywanem przez włókna pierwsze sprowadza poczucie białości, które zmniejsza nasycenie barwy i nadto z powodu mniejszej już drażliwości nerwu, poczucie to światła białego jest słabe i sprowadza zanieczyszczenie barwy pierwotnej barwą szarą.

Gdy spoglądamy współcześnie na dwie barwy różne, mamy objawy kontrastu współczesnego jeżeli na wielkim, czerwonym arkuszu papieru nakreślimy kółko białe, szare lub czarne, wydaje się nam ono jakby osłonięte powłoką zielononiebieską, to jest barwę dopełniającą względem ota-

czającej. Jakkolwiek jednak kontrast ten wydaje się jednoczesnym, jest on rzeczywiście następczym; oko bowiem posiada niesłychaną ruchliwość i przy każdem patrzeniu poruszamy je bezwiednie w różne strony, aby oglądany przedmiot sprowadzać na coraz nowe, niezmęczone miejsca siatkówki. W tym przeto przykładzie w skutek tego przesuwania się wzroku cała siatkówka zostaje zmęczoną, znieczuloną na barwę czerwoną a miejsca siatkówki, na których się rysuje obraz kółka, nie mogą w jego barwie białej uczuć części składowych czerwonych, a tylko części pozostałe, to jest dopełniające do czerwonej. W ten sam sposób miejsca jasne na tle pomarańczowem wpadają w barwę cyanowoniebieską, na tle żółtem w indygowoniebieską, na tle fijoletowem w zielonawożółtą. Osobliwość tę przedstawiają dalej nie tylko miejsca jasne, białe, ale takie szare i czarne, gdyż barwa szara zawiera w sobie białą, a pola czarne odbijają jeszcze dosyć światła białego, aby to mogło być przez oko uczutem; nadto odstępy szare i czarne wiążą wzrok daleko słabiej niż białe, umożebniają przeto łatwiej przesuwanie się wzroku po całem tle barwnem, a tem samem łatwiej sprowadzają jego zmęczenie. Dla tego to wzory czarne, drukowane na tkaninie barwnej, wydają się nie czarnemi, a kolorowemi,— występują w barwie dopełniającej względem barwy tła. Nieznajomość tych szczegółów nieraz była powodem procesów sądowych, — tak np. właściciel magazynu mód zapozwał w Paryżu drukarnię tkanin, która mu w miejsce zamówionych materyj barwnych ze wzorami czarnemi dostarczyła materję ze wzorami kolorowemi; tkaniny które miały posiadać rysunki czarne, przedstawiały na polu czerwonem rysunki zielonawe, na polu fijoletowem zielonożółte, na polu niebieskiem pomarańczowe; fabrykant wszakże utrzymywał, iż nakładał na tkaniny barwniki zupełnie czarne. Cheuvreul, wezwany w charakterze biegłego zakrył barwne tło białym papierem, a rysunki, które pozostały niezakrytemi, wystąpiły istotnie jako czarne. Zresztą, według Auberta, w skutek kontrastu nie zawsze na białych miejscach występują barwy dopełniające; jeżeli np. tło jest żółtem, to jasne kółko nie jest pociągnięte dopełniającą względem żółtej barwą niebieską, ale fijoletową; tak samo na niebieskiem polu kółko białe nie wydaje się żółtem, ale pomarańczowem. Aubert tłumaczy to w ten sposób, że według niego zwykłe światło dzienne nie jest białem, jak się to nam wydaje, ale czerwonawem; na białem przeto kółku z barwą dopełniającą barwy tła łączy się jeszcze czerwień światła dziennego, co zmienia w ogólności jej odcień.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział X.

(Ciąg dalszy).

(Wynalazek inżyniera. — Myśl, która zajmuje Cyrusa. — Wyprawa na górę. — Bór. — Grunt wulkaniczny. — „Tragopany,“ — Barany skalne. — Pierwszy ostrokrąg. — Nocleg. — Ze szczytu góry.)

W kilka minut później myśliwi nasi ujrzeli się przed ogniskiem, na którem gorzał ogień. Znaleźli przy niem Cyrusa Smitha i korespondenta. Pencroff w milczeniu patrzał to na jednego, to na drugiego, stojąc jak wryty, z „kabyjasem“ w ręku.

— A widzisz, mój zuchu! — zawołał korespondent. — Otóż i ogień, rzetelny ogień, przy którym wybornie się upiecze ta wspaniała zwierzyna, którą się zaraz uraczymy!

— Ale któż ogień rozpalił? — zapytał Pencroff.

— Słońce!...

Gedeon Spilett powiedział prawdę. Słońce to zapaliło ten ogień, któremu się tak dziwił Pencroff. Marynarz nie chciał wierzyć swym oczom i tak był osłupiały z podziwu, że nie przyszło mu nawet na myśl zapytać inżyniera: jakim się to stało sposobem?

— Więc miałeś pan przy sobie soczewkę? zagadnął Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, moje dziecko — odparł inżynier — ale zrobiłem sam jedną.

I pokazał aparat, który mu posłużył za soczewkę. Były to po prostu dwa szkiełka, które powyjmował z zegarka korespondenta i ze swego. Napełniwszy takowe wodą i spoiwszy ich brzegi za pomocą kilku okruchów glinki, sporządził tym sposobem rzeczywistą soczewkę, która koncentrując promienie słoneczne na kupkę suchego mchu, spowodowała zajęcie się takowego.

Marynarz przypatrzył się wprzód aparatowi, a potem popatrzył na inżyniera i nie rzekł ani słowa. Ale za to wzrok jego powiedział wszystko! Dla niego odtąd Cyrus, jeżeli nie był bogiem, to w każdym razie był czemś więcej niż człowiekiem. Wreszcie rozwiązał mu się język i zawołał:

— Zapisz to pan, panie Spilett, zapisz to pan w swoich notatkach!

— Już zapisałem — odparł korespondent.

Poczem przy pomocy Naba, sporządził marynarz rożen i wkrótce „kabyjas“ wypatroszony jak się należy, smażył się na wolnym, jasnym ogniu, jak pospolite prosię.

— „Dymniki“ przybrały napowrót postać mieszkalną, nie tylko dla tego, że korytarze grzały się od ognia, lecz także ponieważ dawne zasieki z kamieni i piasku zostały naprawione. Jak widać inżynier ze swoim towarzyszem skorzystali dobrze z tego dnia. Cyrus Smith odzyskał całkiem prawie siły i spróbował takowych, wylazłszy na górną płaszczyznę skały. Z tego punktu oko jego, przywykłe do mierzenia wysokości i odległości, spoczęło długo na owej stożkowej górze, na której szczyt zamierzał wyleźć nazajutrz. Góra ta, położona w stronie północno-zachodniej w oddaleniu około sześciu mil, mogła według przypuszczenia jego, wznosić się na trzy tysiące pięćset stóp ponad powierzchnię morza. Stanąwszy więc na jej szczycie można było przejrzeć dokoła widnokrąg w promieniu najmniej pięćdziesięcio milowym. Zdawało się zatem, że Cyrus Smith będzie mógł ztamtąd wygodnie rozstrzygnąć kwestję „stałego lądu czy wyspy,“ której nie bez powodu wyższą przypisywał wagę niż innym.

Spożyto wieczerzę przyzwoitą. Mięso „kabyjasa“ miało według jednomyślnego orzeczenia, być wyśmienitem. Algi i migdały sosnowe uzupełniły wieczerzę, podczas której inżynier był dość milczącym. Zdawał się cały zaprzątnięty jutrzejszemi projektami.

Kilkakrotnie zaczynał Pencroff rozwijać swe zapatrywania co do planów na przyszłość, lecz Cyrus Smith, który snać był człowiekiem bardzo systematycznym, kiwał tylko głową i powtarzał:

— Jutro będziemy wiedzieli czego się trzymać i podług tego zastosujemy nasze postępowanie.

Po wieczerzy dorzucono świeżego chrustu do ognia i mieszkańce „dymników,“ nie wyjmując niemego Topa, zasnęli wszyscy kamiennym snem. Żaden wypadek nie przerwał spokoju tej nocy i nazajutrz — 29. marca — przebudzili się rześcy i wypoczęci, gotowi do wyprawy, która los ich miała rozstrzygnąć.

Wszystko było gotowe do podróży. Resztki „kabyjasa“ mogły jeszcze przez dwadzieścia cztery godzin wyżywić Cyrusa i jego towarzyszy. Zresztą mieli nadzieję po drodze zasilić się w żywność. Ponieważ szkiełka od zegarków inżyniera i korespondenta powkładane zostały napowrót w miejsce swego przeznaczenia, zatem Pencroff nadpalił trochę tej szmaty, która miała służyć zamiast czyru. O krzemień nie było się co troszczyć w kraju tak wulkanicznym.

Około godziny wpół do ósmej podróżni nasi, uzbrojeni w kostury, opuścili „dymniki.“ Według zdania Pencroffa, zdawało się najwłaściwszem obrać znaną już drogę przez las, podczas gdy z powrotem można było iść inną drogą. Była to także najkrótsza droga wiodąca do celu ich wyprawy. Skręcili zatem na południowym rogu skalnej ściany i podążyli lewym brzegiem rzeki. W miejscu gdzie rzeka skręcała w kierunku południowo-zachodnim, zeszli w bok, odszukali wydeptaną już pomiędzy drzewami ścieżkę i około godziny dziewiątej Cyrus Smith z towarzyszami swymi przybyli na północny kraniec lasu.

Grunt dotychczas dość jednostajny, naprzód bagnisty a później suchy i piasczysty, okazywał w tem miejscu lekką spadzistość, która od brzegu morza wznosiła się w głąb kraju. W gęstwinie przemknęło się kilka sztuk zwierzyny bardzo płochliwej. Top poskoczył za niemi żwawo lecz pan jego przywołał go napowrót, gdyż nie była to pora na łowy. Później, co innego! Inżyniera nie łatwo było odwieść od myśli, którą raz wbił sobie w głowę. Można było twierdzić na pewne, że ani zważał na okolicę, którą szli, ani na kształt jej, ani na jej płody. Wyłącznym przedmiotem jego obserwacji była góra, na którą chciał się wedrzeć i ku niej też dążył prosto.

O godzinie dziesiątej nastąpił kilkuminutowy odpoczynek. Przy wyjściu z lasu roztoczył się przed ich oczyma układ orograficzny całej okolicy. Góra składała się z dwóch ostrokręgów. Jeden z nich, ścięty w wysokości dwóch tysięcy pięćset stóp, podtrzymywany był poprzecznemi z dołu pasmami gór, rozgałęzionych fantastycznie, niby szpony olbrzymiej łapy zatopione w ziemię. Pomiędzy temi poprzecznemi pasmami ciągnęło się tyleż czeluści wąskich, najeżonych drzewami, których ostatnie grupy wznosiły się aż do samego pnia ostrokręgu. Roślinność zdawała się szczuplejszą w północno-wschodniej stronie góry, gdzie czerniały pręgowate wyżłobienia dość głębokie, zapewne wystygłe potoki lawy.

Na pierwszym ostrokręgu sparty spoczywał drugi ostrokrąg, z lekka na samym szczycie zaokrąglony i pochylony nieco na bok. Rzekłbyś, że to kapelusz olbrzymi zsunięty na jedno ucho. Zdawał się składać cały z nagiej ziemi, którą w wielu miejscach przerzynały czerwonawe skały.

Tak wyglądał szczyt drugiego ostrokręgu, na który należało się wdrapać, a do którego naj-

wygodniejszy przystęp był po grzbietach poprzecznych pasm.

— Znajdujemy się na ziemi wulkanicznej, rzekł Cyrus Smith, poczem cała drużyna poczęła zwolna wspinać się po grzbiecie jednego z poprzecznych pasm, krętych a tem samem wygodniejszych, które sięgało aż do samego szczytu pierwszego ostrokręgu.

Powierzchnia ziemi w wielu miejscach była nabrzmiałą, snać wstrząsały nią nieraz podziemne siły wulkaniczne. Tu i ówdzie leżały bezładnie nieregularne bryły kamieni, liczne odłamy bazaltu i pumeksu. W rzadkich grupach wznosiły się drzewa szyszkowe, które o kilkaset stóp niżej, na dnie wąskich parowów, tworzyły zbitą gąszcz, przez którą promień słoneczny nie mógł się przedrzeć.

Podczas gdy w pierwszej części swojego pochodu, wdrapywali się po niższych pagórkach tworzących jakoby olbrzymie schody wiodące do góry, zauważył Harbert tropy dużych zwierząt, zapewne dzikich.

— Może te bestje nie odstąpią nam dobrowolnie swych siedzib? — rzekł Pencroff.

— W takim razie, odparł korespondent, który polował niegdyś w Indjach na tygrysy i w Afryce na lwy, będziemy się starali dać sobie z niemi radę. Ale tymczasem trzeba się mieć na ostrożności!

Tymczasem podróżni nasi postępowali zwolna naprzód, ale częste zakręty, urwiska i przeszkody, których nie podobna było przebyć na wprost, znacznie przysparzały drogi. Czasem ziemia urywała się nagle i znajdowali się nad brzegiem głębokich czeluści, które trzeba było obejść do koła. Każdym razem kosztowało ich to wiele czasu i trudów, ażeby trafić napowrót na wygodniejszą ścieżkę. Około południa, gdy drużyna nasza zatrzymała się, ażeby zjeść śniadanie pod cieniem rozłożystego klombu sosn, niedaleko strumyka spływającego kaskadą, ujrzała się właśnie w połowie drogi od pierwszego ostrokręgu, do którego podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie podobna było dotrzeć przed zachodem słońca.

Z miejsca, w którem się znajdowali, rozlegał się widok daleki na morze; lecz z prawej strony zasłaniał go śpiczasty przylądek sterczący w południowo-wschodniej stronie, który nie dozwalał rozróżnić, czyli wybrzeże ostrym zakrętem łączyło się z jakim lądem położonym na tylnym planie. Z lewego boku sięgał wzrok kilka mil na północ, lecz w kierunku północno-zachodnim od miejsca, gdzie się znajdowali nasi podróżni, zagradzał dalszy widok sterczący róg jednego z poprzecznych pasm dziwacznie, pokrajanego, tworzącego jakby potężny przyczółek środkowego ostrokręgu. Tym sposobem nie podobna było jeszcze rozstrzygnąć kwestji, o którą chodziło Cyrusowi.

Po całogodzinnym wypoczynku ruszono dalej. Trzeba było zboczyć w kierunku południowo-zachodnim i zapuścić się znowu w gęstwinę. Tu wśród rozłożystych drzew trzepotało się kilka par ptaków należących do rodzaju bażantów. Były to „tragopany,“ u szyji miały mięsiste podgardla i dwa cienkie walcowate różki po za oczyma. Ptaki te były mniej więcej tej samej wielkości, co kogut; samice były koloru jednostajnie brunatnego, podczas gdy samce połyskiwały czerwonem pierzem z drobnemi centkami białemi. Gedeon Spilett trafnym i silnym pociskiem kamienia ubił jednego „tragopana,“ a Pencroff zgłodzony nużącą drogą, spoglądał na niego łakomem okiem.

Wydobywszy się z gąszczy, poczęli wdrapywać się, podsadzając się wzajemnie na barkach po bardzo stromej spadzistości liczącej około sto stóp przestrzeni i wdarli się tym sposobem na jeden z wyższych schodów, na którym rosło kilka drzew, a ziemia miała pozory wulkaniczne. Ztąd trzeba było skręcić znowu na wschód i iść ślimakiem, co ułatwiało wspinanie się po nader stromej spadzistości, a każdy musiał ostrożnie wybierać miejsca, gdzieby mógł nogę postawić. Straż przednią tworzyli Nab z Harbertem, straż tylną Pencroff; a w pośrodku szli Cyrus i korespondent. Zwierzęta, które drapały się po tych wyżynach—a nie brak było takich tropów—musiały należeć do rasy tych, które natura obdarzyła pewną nogą i giętkim grzbietem, zapewne do rodzaju dzikich kóz lub izardów*). Spostrzegli nawet kilka takich sztuk, lecz Pencroff inną dał im nazwę, zawoławszy nagle:

— Barany!

Na ten krzyk stanęli wszyscy i na pięćdziesiąt kroków od siebie ujrzeli pół tuzina zwierząt dużych, z silnemi rogami w tył zakrzywionemi a spłaszczonemi u końca, o wełnistej sierści, którą pokrywały długie miękkie kudły płowego koloru.

Nie były to pospolite barany, lecz pewien gatunek takowych, rozpowszechniony w górzystych krajach stref umiarkowanych.

— A można z nich robić udźce baranie i kotlety? — zapytał marynarz.

— Można — odparł Harbert.

— A zatem, to są barany! — rzekł Pencroff.

Zwierzęta te stały nieruchome wśród odłamów bazaltowych i patrzyły wzrokiem zdumionym, jak gdyby po raz pierwszy widziały dwunożne istoty ludzkie. Po chwili spłoszyły się nagle i skacząc po skałach znikły pomiędzy urwiskami.

— Do widzenia! — zawołał Pencroff tonem tak komicznym, że Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Nab wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ruszono dalej. Na pochyłościach dawały się co raz częściej spostrzegać ślady lawy rozlanej w fantastycznych pręgach. Małe *solfatary***) przecinały od czasu do czasu drogę i trzeba było obchodzić wzdłuż brzegów. W niektórych miejscach siarka utworzyła osad w kształcie grup z małych kryształków, pomiędzy ciałami, które zazwyczaj poprzedzają wybuchy lawy, między nieregularnemi, skamieniałemi grudkami *puzzolany****) i wśród białawego popiołu z niezliczonej liczby feldspatowych kryształków.

Czem więcej zbliżali się do pierwszej terasy, którą tworzył ścięty słup niższego ostrokręgu, tem trudniej było wdrapywać się do góry. Około godziny czwartej minęli ostatni pas lasu. Tu i ówdzie sterczało jeszcze tylko kilka sosen pokurczonych i nagich, którym przypadł w udziele twardy los stawiania oporu wichrom szalejącym w tak wielkiej wysokości. Szczęściem dla inżyniera i towarzyszy jego pogoda panowała zupełna, powietrze było spokojne, silny wiatr bowiem w wysokości trzech tysięcy stóp byłby krępował ich poruszenia. Na wskróś tego przezroczystego powietrza czułeś czystość jego u zenitu nieba.

Cisza zupełna panowała dokoła. Słońce skryło się było właśnie za olbrzymi szczyt wyższego ostrokręgu, który zasłaniał połowę zachodniej części nieba, i którego olbrzymi cień rozpościerając się aż do brzegu morza, rósł w miarę jak promieniejący na niebie planeta zbliżał się do kresu codziennego swego biegu. Na wschodzie poczęły wznosić się lekkie mgły raczej niż chmury, ubarwione pod wpływem promieni słonecznych, wszystkiemi kolorami tęczy.

Pięćset stóp tylko oddzielało podróżnych naszych od szczytu, na którym zamierzali stanąć noclegiem, lecz wykrętasy, któremi iść trzeba było, przedłużały tę drogę więcej niż na dwie mile. Często brakło im gruntu pod nogami. Spadzistość była nieraz tak stromą, że ślizgali się po pokładach lawy, tam gdzie powietrze nie wyżłobiło bruzd, w których noga znajdowała stalszy punkt oparcia. Wreszcie późnym wieczorem, przy zapadającej nocy Cyrus Smith z towarzyszami swymi, śmiertelnie znużeni siedmiogodzinnem drapaniem się pod górę, dotarli do szczytu pierwszego ostrokręgu.

Chodziło teraz o urządzenie noclegu i pokrzepienie sił naprzód jadłem a potem snem. Druga kondygnacja góry spoczywała na pokładzie utworzonym ze skał, pomiędzy któremi znaleźli łatwo stosowne schronienie. Zapas paliwa nie był obfity. Można jednak było rozpalić ognisko z mchu i suchych krzaków sterczących miejscami. Podczas gdy marynarz sporządzał ognisko z kamieni, które w tym celu nagromadził, Nab z Harbertem zbierali paliwo i wkrótce powrócili z potrzebnym ładunkiem. Skrzesano ogień, płachta nadpalona zajęła się od skier padających z krzemienia i poddmuchiwany przez Naba zapłonął w kilku minutach pod osłoną skał jasny płomień.

Ogień ten miał służyć tylko do zabezpieczenia się przed ostrym chłodem nocnym, bażanta schował Nab nazajutrz. Resztki „kabyjasa“ i garść sosnowych migdałów stanowiły ich wieczorny posiłek.

Około wpół do siódmej zakończyli wieczerzę.

Cyrusowi przyszła wtedy myśl, zbadać do koła w tym pół-mroku wieczornym owo szerokie podmurowanie ze skał, na którem spoczywał ostrokrąg góry. Przed wypoczynkiem chciał się przekonać koniecznie, czy nie dałoby się obejść do koła podnóże ostrokręgu, na wypadek, gdyby zbytnia stromość jego boków nie dozwoliła dotrzeć do samego szczytu. Kwestja ta nie przestawała go zaprzątać, gdyż łatwo być mogło, że od strony, w którą przechylał się kapelusz t. j. od północy nie podobna by się było wydrapać. Gdyby więc z jednej strony nie można było dotrzeć do samego szczytu góry a z drugiej strony obejść do koła podnóże ostrokręgu, w takim razie niepodobieństwem byłoby także przejrzeć północną stronę okolicy i cel wyprawy byłby po części chybionym.

Nie uważając zatem na trud i zmęczenie, inżynier zostawił Pencroffa i Naba zajętych przygotowaniami do noclegu a Gedeona Spiletta pogrążonego w zapisywaniu wypadków upłynionego dnia, a sam podążył krajem terasy w kierunku północnym. W wycieczce tej towarzyszył mu Harbert.

Noc była piękna i pogodna a ciemność nie zbyt jest jeszcze wielka. Cyrus Smith i Harbert szli obok siebie w milczeniu. Gdzie nie gdzie mieli przed sobą grunt płaski i gładki, po którym szli bez przeszkody. Gdzie indzie

*) Kozły skalne. (Przyp. tłum.)
**) Bagna siarczane. (Przyp. tłóm.)
***) Gatunek ziemi wulkanicznej. (Przyp. tłóm.)

nagromadzone rumowiska skał pozostawiały zaledwie wąziutką ścieżynę, po której nie podobna było dwom osobom iść obok siebie. A w końcu po dwudziestu minutach drogi Cyrus i Harbert musieli się zatrzymać. Od tego miejsca począwszy oba ostrosłupy zbiegały się ze sobą. Nie było dalej szańca, któryby oddzielał dwie kondygnacje góry. A obejść ją do koła po stokach pochyłych na siedmdziesiąt stopni było niepodobieństwem.

Lecz jednocześnie, gdy inżynier i Harbert musieli zrzec się zamiaru okrążenia góry, przedstawiała im się możność dostania się wprost na jej szczyt.

Przed nimi rozwierała się czeluść głęboka, wydrążona w skale. Był to otwór wyższego krateru, paszcza przez którą buchały ognistym potokiem roztopione kamienie i lawa, w czasie gdy wulkan był jeszcze czynnym.

Stwardniała lawa i żuz zaskorupiały tworzyły rodzaj schodów szerokich, ułatwiających przystęp na szczyt góry.

Za jednym rzutem oka Cyrus Smith spostrzegł tę okoliczność i nie wahając się chwili, wraz z Harbertem puścili się w głąb tej olbrzymiej rozpadliny, wśród wzrastającej ciągle ciemności.

Mieli jeszcze nad sobą tysiąc stóp wysokości. Zachodziło pytanie, czy po wewnętrznych ścianach krateru można się było wdrapać do góry. O tem mieli się wnet przekonać. Inżynier postanowił drapać się tak wysoko, jak tylko się da. Szczęściem ściany krateru były dość przydłużne i wiły się szerokim wężem, co wielce ułatwiało drogę pod górę.

Co się tyczy wulkanu, ten bez żadnej wątpliwości oddawna był wygasł. Nie widać było ani dymu błąkającego się po ścianach, ani ognia na dnie głębokich czeluści. Żaden grzmot podziemny, żaden szum, żadne trzęsienie nie wydobywało się z tego lochu ciemnego, który sięgał może aż we wnętrzności ziemi. Nawet w powietrzu nie dawał się czuć zapach siarki. To nie był sen wulkanu, to była zupełna śmierć jego.

Zamiar Cyrusa zdawał się zapowiadać pomyślny skutek. Wdrapując się wraz z Harbertem po stokach krateru, widzieli jak otwór jego co raz bardziej rozszerzał się nad ich głowami. Kawałek nieba okolonego brzegami krateru powiększał się z każdą chwilą. Za każdym krokiem nowe ukazywały im się gwiazdy. Wspaniałe konstellacje południowego nieba jaśniały całym swym blaskiem. Na zenicie połyskiwała jasnym promieniem srebrzysta Antares z konstellacji Niedźwiadka, a niedaleko niej owa β z konstellacji strzelca, o której twierdzą, że jest najbliższą ziemskiemu globowi. W miarę jak otwór krateru rozszerzał się przed nimi, ujrzeli gwiazdę zwaną *Fomalhaut* należącą do konstellacji Ryb, Trójkąt południowy, a wreszcie na samym prawie biegunie antarktycznym jaśniejący Krzyż, który na niebie południowem zastępuje gwiazdę Polarną.

Była już godzina ósma, gdy Cyrus i Harbert stanęli na najwyższym grzbiecie góry, na samym szczycie ostrosłupa.

Ciemność wtedy już zupełna, nie pozwalała oku sięgnąć dalej jak na dwie mile w około. Czy morze otaczało wskróś tę ziemię nieznaną, czyli też przytykała na zachodzie do jakiego lądu Cichego Oceanu? Tego nie podobna było rozpoznać. Na zachodzie mglista wstęga rozpostarta na horyzoncie powiększała jeszcze ciemność a wzrok daremnie usiłował odgadnąć, czyli w tem miejscu morze zlewało się z niebem.

Lecz nagle na jednym punkcie widnokręgu zabłysło mgliste światełko, które zniżało się zwolna, w miarę jak chmura wznosiła się ku zenitowi nieba.

Był to wąski sierp księżyca gasnącego na nowiu. Lecz blask jego wystarczał, ażeby oświetlić widnokrąg, wolny już w ówczas od chmur, i w tej chwili ujrzał inżynier drżący obraz jego odzwierciedlony w wodnej płaszczyźnie.

Cyrus Smith uchwycił dłoń Harberta i rzekł głosem poważnym.

— To wyspa!... W tej chwili sierp księżyca zapadł we fale oceanu.

(C. d. n.)

Mówią mi...

Mówią mi — że Idealy
To młodości krótki szał.
Jednym targiem świat ten cały,
Prawdą życia — tylko kał!
Mówią mi, że trzeba w masce
Ukryć groźny wzrok i twarz;
Sprzedać prawość możnych łasce,
I pızy ustach stawić straż.

Mówią mi — że serce — dzieckiem,
Że ich śmieszą jego łzy,
Gdy w objęciu mar zdradzieckiem
Obłąkańców roi sny;
Że nie miłość, ani wiara
Ten zgrzybiały wspiera świat;
Ale waga, ale miara,
Władza, sprytu, cyfr i zdrad!

Mówią mi — że myśl w wczłowieku
To najpierwsza z zysku sług;
Mówią mi — o hańbo wieku!
Że czczą złudą duch i Bóg!
Że raz oczy przetrzeć trzeba
By odzyskać trzeźwy wrok;
I nie tonąć w blaskach nieba
Ale zimno spojrzeć w mrok.

I pójść śladem za drugiemi,
I głos serca rzucić w pył!
I na wieki sprzedać ziemi
Niestarganych resztę sił!
Bo poezja, pieśń, uczucie,
To blichtr tylko zdradnych larw!
W które stroi się zepsucie
Jak w sukienki cudnych barw!

Mówią mi — o Boże, Boże!
Wielki Boże ojców mych!
Ty mnie usłysz! gdy w pokorze
Wołam: oświeć, oświeć ich!
Gdzie ich przyszłość? — w jakie progi
Ten szalony dąży ıuch?
Co u kresu czeka drogi,
Gdzie nie czeka — Bóg i Duch?!

31. Stycznia 1875.

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział VI.

(Ciąg dalszy.)

Słońce zaszło było od kwadransa. Salon, którego trzy okna wychodziły na werandę, a dwa inne ocienione były drzewami ogrodu, był prawie zupełnie ciemnym. Pani Helena nie mogła przeto widzieć obojętnej miny, z jaką p. Alfred Zgorzelski przyjmował wiadomość o słabości jej męża, i z jaką jej samej podawał wodę. P. Alfred ze swojej strony, nie mógł widzieć jak pani Zamecka zbladła była, osłabła, i jak napiwszy się wody, przyszła nieco do siebie, gdy wysłała pannę Wandę Ciechocką po ocet toaletowy. P. Alfred, starający się od tylu lat o pannę Wandę, i wytężający wszystkie siły, w celu przyprowadzenia swojego stanu majątkowego do ładu, któryby mu pozwolił ożenić się i urządzić sobie dom na pewną, — jak mawiał — „przyzwoitą skalę“ — pan Alfred powtarzam, nadto musiał być w tej chwili zajętym odejściem panny Wandy, ażeby mu w ogóle przyszło na myśl zastanawiać się, jak się miała pani Helena. O ile sądzę, trudnoby było w tej chwili znaleźć dwoje ludzi, zostawionych sam na sam w ciemnym salonie, którzyby nietylko mniej zajmowali się jedno drugiem, ale nawet, mniej byli usposobionymi do zajęcia się tego rodzaju. Wiemy już, jak pani Helena zapatrywała się na p. Alfreda. Słyszeliśmy, co mówiła o nim swojemu mężowi, i słyszeliśmy także, jak przemawiała do niego w towarzystwie cierpko, złośliwie. Starała się przekonać Wandzię, że ten człowiek jest próżnią zupełną, bez żadnej, najmniejszej treści. Starała się przekonać całe otoczenie swoje, że nie było nigdy człowieka bardziej pozbawion go jakiegokolwiek dodatniego przymiotu, bardziej polegającego na ujmującej na pozór powierzchowności swojej, i bardziej przytem moralnie i fizycznie zrujnowanego, jak p. Alfred. Opinję tę, wcale nie tajoną, odpłacał p. Alfred pani Helenie w całej pełni. Nie zdarzało się nigdy, ażeby się o niej wyraził korzystnie. Odmawiał jej nawet tak niezaprzeczonego jej przymiotu, jak piękności. Jednem słowem, była to antypatja wzajemna, o której wiedziano prawie powszechnie w Rymiszowie i w okolicy.

Zapewne dzięki tej antypatji, zaraz po odejściu Wandy, pani Helena wstała szybko i wyszła na werandę. Pan Alfred bał się może duchów, których pojawienie się w wysokich i dużych komnatach starego zamku nie było wprawdzie stwierdzonem, ale nader prawdopodobnem. Zdaje mi się, że sam, gdybym był duchem, obrałbym sobie takie a nie inne mieszkanie. Dość, że pan Alfred wyszedł także na werandę, po za którą widać było kląby kwiatów, oblane pełnym blaskiem księżyca, i cienie drzew rysujące się ostro i wyraźnie na szerokich ulicach i ścieżkach ogrodu, wysypanych żółtym piaskiem. Rezedy i róże w pobliżu werandy, a dalej nieco, jaśminy, zwilżone rosą, napełniały powietrze swoją wonią. Słowiki, wykochawszy się i wyspiewawszy w maju, umilkły już były o tej porze roku, ale z daleka, oprócz skrzeczenia żab, słychać było tony wiejskiej sopiałki, a oprócz tego, w ogrodzie pełno było małych puszczyków, których talent muzykalny, srodze i niesłusznie spotwarzony, wcale nie jest tak niewdzięcznym i niemiłym, jak twier-

dzą niektórzy uprzedzeni krytycy. Nie wiem, czy uda mi się zrehabilitować puszczyka w mniemaniu ogólnem, ale wiem, że jest to bardzo pożyteczna i wcale wesoła ptaszyna, niezmiernie szczebiotliwa, kochająca swoje dzieci i najniesprawiedliwiej wprowadzona w styczność z różnemi tragicznemi przeczuciami i wrażeniami. Wszak Adeliny Patti także nikt ponoś nie słyszał przed zachodem słońca, a przecież nikomu nie przyszło na myśl wróżyć co złego z jej głosu! Wielki puhacz, przesiadujący w lasach, ptak bardzo drapieżny i silny, z głosem emerytowanego basisty i z potężnym apetytem na pieczeń zajęczą, zasłużył może po części na złą reputację, jakiej używa cały rodzaj sowi, ale puszczyk domowy jest śpiewakiem, którego można słuchać z przyjemnością, skoro się człowiek pozbędzie pewnych zabobonów i skoro pamięta, że dotychczas nie mamy partycyj Aubera, Belliniego ani Gounoda zastosowanych do potrzeb skromniejszych talentów w rodzie ptasim. Jednem słowem, puszczyk wobec słowika albo kanarka nie stoi wcale niżej, niż dyletant należący do Tow. muzycznego we Lwowie, wobec Filleborna lub Cieślewskiego. Musiało to być zdanie, które podzielała pani Zamecka, bo zszedłszy po kamiennych schodach z werandy, przechadzała się w świetle księżyca naokoło kląbów w ogrodzie, zaludnionym wzgardzonymi owymi śpiewakami. P. Alfred zaś był zapewne wybredniejszym w swoim smaku, i jak zwykle, sprzeciwiał się zdaniu pani Zameckiej, toczyła się bowiem między nim a nią bardzo ożywiona dyskusja, prowadzona półgłosem i połączona z żywą gestykulacją. Na chwilę, pani Zamecka stanęła, splotłszy dłonie u rąk wyprężonych tak, jak to się robi w głębokiem zamyśleniu, zacisnąwszy usta, i wlepiwszy spojrzenie w ziemię, podczas gdy p. Alfred mówił szybko, podnosząc przytem ramiona, i rozwierając ręce, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że czegoś nie może, czy zrobić, czy pojąć, czy przyznać lub dopuścić. Potem znowu pani Helena wykonała jakiś ruch stanowczy i niecierpliwy, i w tej chwili panna Wanda z flakonikiem, pojawiwszy się na stopniach werandy, usłyszała dobitnie wypowiedziane wyrazy:

— To się raz musi skończyć, i wiem już, jak się skończy. Ach, jesteś, Wandziu! — dodała pani Zamecka — dziękuję ci, moje serce. Dam panu przed wyjazdem pańskim książkę — rzekła jeszcze do p. Alfreda — w której pan znajdziesz, czego panu potrzeba.... a raczej, czegobyś pan powinien czuć potrzebę. Będzie tam z dwa tysiące argumentów przeciw pańskim twierdzeniom. Spodziewam się, że to wystarczy?

— Nie wystarczy i dwadzieścia, albo trzydzieście. Ale będę się starał zrobić jak najlepszy użytek z tych, które znajdę.

— O czem to państwo mówicie? — zapytała panna Wanda ciekawie.

— Ach... pan Alfred wystąpił właśnie z teorją.... że szczęście nie polega na posiadaniu i używaniu, ale na oczekiwaniu, na jakimś, jak powiada, przedsmaku roskoszy. Jest to teorja, wiodąca mojem zdaniem prosto do błogosławionego stanu starego kawalerstwa, w który pan Alfred podobnoś wstąpić zamierza. Mam powieść w mojej bibliotece, której bohaterowie żenią się w pierwszym rozdziale, i są szczęśliwymi przez całe dwa tomy. Mam nadzieję, że taki świetny przykład przekona p. Zgorzelskiego.

— Będę pani bardzo wdzięcznym za pożyczenie mi tej książki, ale ośmielam się zwrócić jej uwagę, że teorja, którą.... tak, którą mi pani przypisujesz, nie.... To jest, jednem słowem, że nie mówiliśmy... a raczej, ja nie mówiłem....

— Chachacha! delinkwent schwytany na gorącym uczynku, wypiera się! No, skoro tak, zostaje jeszcze nadzieja poprawy. Ale wracajmy do salonu, Wicenty pozapalał już lampy, a ja muszę zobaczyć, co robi Tadeusz, a potem, wyszukam panu książkę, o której mówiłam.

— Pani Zamecka ma szczególnie niemiły sposób wmawiania w ludzi tego, o czem im się nie śniło — rzekł p. Alfred, gdy pani Helena oddaliła się do pokoju męża. — Powiedziałem był tylko, że nadzieja może człowieka zrobić szczęśliwym, a pani Helena wysnuła ztąd wnioski, które mi nigdy w myśli nie postały. Nie lubię sarkazmu i sceptycyzmu w ustach kobiety. Nie lubię go w ogóle. Los sam dosyć już z nas szydzi, i prześladuje nas swojemi negacjami.

Tak czule popatrzył na Wandzię, i tak smutnie potem zwiesił głowę na piersi, że musiała mu podać rękę, którą ucałował raz i drugi gorąco.

— Pani jesteś aniołem. Pani nie potrafiłabyś szydzić z nieszczęśliwego. Ach, ja jestem bardzo nieszczęśliwym!

Wandzia nie była w stanie mówić, tak mocno wzruszył ją dźwięk jego głosu. Patrzyła tylko na niego ze łzami w oczach. On był nieszczęśliwym! Dla czego? Czy nie mogłaby pomódz mu? I o czem też Helena z nim mówiła? Zapewne, jak już nieraz, napierała na niego, ażeby się oświadczył o rękę Wandzi. Poczciwa Helenka! Potrzeba ją będzie wyściskać i wycałować za to, i dowiedzieć się od niej, dla czego Alfred jest nieszczęśliwym.

Tymczasem wrócił dr. Chimerski i oświadczył, że pan Tadeusz nie jest niebezpiecznie chorym, ale że przez kilka dni potrzebować będzie jak najzupełniejszego spokoju, i musi zostać w łóżku. Nadmienię tutaj, że to polecenie szanownego konsyljarza zostało jak najskrupulatniej wykonanem, i że wskutek tego przez czas słabości i rekonwalescencji, nie oddawano p. Zameckiemu listów, ani też nie dopuszczano do niego nikogo, co przybył z jakim interesem. Oto był powód, dla którego p. Skryptowicz nie mógł doczekać się odpowiedzi na swoje lakoniczne pismo.

P. Alfred kazał był już oddawna zaprzęgać konie do swojej nejtyczanki, i czekał jeszcze tylko na panią Helenę, ażeby się z nią pożegnać, zwłaszcza, że na parę dni interesa zniewalały go wyjechać do miasta. Pani Zamecka wróciła po niejakim czasie, i wręczyła mu książkę, którą mu przyrzekła.

— Niechaj się pan buduje, i niechaj pan uważa, ażebyś pan nie pogubił kartek, bo niektóre z nich wypadają.

P. Alfred przyrzekł wypełnić to polecenie jak najściślej, pożegnał się i wyjechał.

Za wsią, otworzył książkę, którą trzymał w rękach, jak gdyby się obawiał, że się rozleci. Nie była to powieść w dwóch tomach, ale jakaś francuska książka *in quarto* z rycinami, opisująca różne luźne typy i charaktery, nie zaś małżeństwo przez ośmset stronic używające niezakłóconego niczem szczęścia domowego. Zapewne pomyliła się pani Zamecka. Pan Alfred przeglądnął to dzieło pilnie przy świetle księżyca i znalazł w niem dwie kartki, które wyjął i włożył do pugilaresa, przypatrzywszy im się dokładnie. Ścisłość historyczna zniewala mię nadmienić, że kartki te nie zawierały humorystycznych rysunków, chociaż były bardzo pięknie sztychowane. Jedyną ich humorystyczną stroną było zawarte na nich zapewnienie, że pewien bank, o którym wiedziano powszechnie, iż nie uskutecznia swoich wypłat brzęczącą monetą, wypłaci okazicielowi srebrem wyrażoną tam sumę pieniędzy. P. Alfred uśmiechnął się gorżko, rozpamiętując prawdopodobnie, jak można obiecywać tak serjo coś, co nigdy nie nastąpi, poczem zaczął się przypatrywać trzeciej, mniejszej znacznie karteczce, która znajdowała się w książce. Zawierała ona drobnem pismem te słowa:

„Bądź u Drozdowskiej i dojdź koniecznie, co się stało z tem dzieckiem. Staraj się być u Karola, albo w inny jaki sposób zobaczyć dziewczynę, która jest u niego, a którą Zamecki nazywa swoją wychowanką. Mam podejrzenie, które niepokoi mię prawie tyle, co twoja sprawa z Bergerem. Przypomnij Gomułowiczowi jego obietnicę, że znajdzie katolika, który da pieniądze. Daj mu ile zażąda, byle zrobił interes. I tym razem przynajmniej, nie graj w karty, albo jeżeli przegrasz, nie płać. Powiedz mamie, że nie dam ani grosza dla Urszulanek, ani dla Niepokalanek, bo nie mam pieniędzy. Wszystkie sposoby tak są wyczerpane i wszystkie struny tak naprężone, że nie mogę teraz nic zrobić. Radź jak możesz i wracaj prędko. Raz jeszcze przypominam ci Drozdowską i Karola.“

Pan Alfred podarł tę karteczkę w drobne kawałeczki, które jeden po drugim wyrzucał z bryczki, a zajechawszy na stację, kupił bilet i bezzwłocznie wyjechał do miasta, gdzie zostawiliśmy p. Skryptowicza niezmiernie przygnębionego, widzialnego w dzień i śpiącego w nocy, i zapowiedzieliśmy ztąd ważne następstwa dla dalszych rozdziałów tej powieści. (C. d. n.)

Koniec tomu pierwszego.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

V.

Polowanie na strusie.

W wolnych chwilach od zajęć obozowych, często bardzo zwidzałem konno okolicę i gdzie tylko zdarzyło mi się napotkać wyższe, pagórkowate położenie, spostrzegałem zawsze stosy potłuczonych skoróp; były to szczątki wsi rozsianych pierwotnie bardzo gęsto w tych stronach, które jednak liczne polowania na niewolników w gruzy zamieniły. Zwierzyna tu była bardzo rzadka, pojawiały się tylko gdzieniegdzie strusie. Wyjechawszy jednego dnia w towarzystwie Juliana Bakera i kilku z oficerów, postrzegliśmy w wielkiej odległości parę strusiów, przechadzających się po płaszczyźnie. Podejść na otwartem miejscu nie było możebnem, z żalem więc pożegnałem już nadzieję upolowania choćby jednego; gdy w tem w stronie przeciwległej ukazał nam się struś wychodzący z krzaków. Zsiadłem natychmiast z konia i chyłkiem, zakryty zaroślami, zbliżyłem się jak najspieszniej do miejsca upa-

trzonego. Pomału wychyliwszy się z za krzaków, ujrzałem w pobliżu mego ptaka; spłoszył się o jakie 130 kroków na mój widok; wymierzyłem spokojnie i dałem ognia; w jednej chwili struś upadł z takim impetem, że tuman pierza wzbił się w powietrze. Późniejsze badania moje tych ptaków, zbijają twierdzenia o strusiach, jakoby ich były dwa gatunki szarych i popielatych. Ja natomiast przekonałem się, że czarny z białemi piórami u skrzydeł i ogona, jest samcem, a popielatą bywa samica. Z piór ubitego strusia nie miałem pożytku, były bowiem stare i roztrzepane. Tłuszcz jednak z niego jest bardzo ceniony przez Arabów, jako środek na reumatyzm. W żołądku jego po rozpłataniu, znaleźliśmy wielką ilość niedźwiadków, chrabąszczy, liści z drzew i białych okrągłych kamyków. Struś musiał gdzieś z daleka przybyć, w bliskości bowiem nie było nigdzie ani skał ani kamieni. Trudność podejścia tego ostrożnego ptaka, nastręczyła mi myśl urządzenia sobie maski. Wróciwszy do obozu, kazałem zaraz wyciosać formę głowy strusiej z drzewa, na oczy użyłem szyjek z butelek od wina, co wszystko zatknięte na żerdzi wystawało z nad czapki ustrojonej suto piórami; cały zaś przyrząd obciągnięto płótnem szarego koloru. Nie wątpiłem że tak przybrany, niosąc żerdkę w lewej ręce, i naśladując ruchy strusia, zbliżę się niewątpliwie do żerujących ptaków. Nie miałem jednak sposobności wypróbowania mego pomysłu, z powodu deszczów, które się wkrótce rozpoczęły.

VI.

Powrót na Biały Nil.

Postanowiłem wyruszyć z mojej stacji 1go grudnia; nie miałem zatem wiele czasu do stracenia, a nie będąc pewnym ścisłego wykonania moich rozporządzeń, co do nadesłania nam okrętów, wyruszyłem w kilka statków do Khartum dla dopilnowania mych poleceń i zaopatrzenia się w zboże. Dla zamówienia okrętów wysłałem był naprzód inżyniera angielskiego p. Higginbotham, który ze swoim oddziałem inżynierów i mechaników, z których każdy był z pochodzenia Anglikiem, złączył się już był ze mną w obozie Teewfikeyah. Przybywszy do Khartum, spotkałem tu po raz pierwszy vice hrabiego de Bizemont, który zamierzał przyłączyć się do naszej ekspedycji; miał on zlecenie od cesarzowej francuskiej wręczenia mej żonie upominku w dowód uprzejmej pamięci, jaką zaszczycała naszą wyprawę. Wtenczas to dowiedziałem się o wojnie Francji z Prusami.

Interesa moje szły jak najgorzej; zamiast spodziewanych trzydziestu okrętów, nie dostałem jak siedm; niepodobieństwem było także myśleć o przewiezieniu wielbłądów, które nam były niezbędnie potrzebne do transportowania parowców z Gondokoro w miejsca, gdzie Nil był spławny. Dowiedziałem się także od p. Higginbotham, że główny handlarz na Białym Nilu, Agad, miał kontrakt z rządem egipskim, dający mu wyłączne prawo handlu w okolicach wynoszących przestrzeni 90.000 angielskich mil kwadratowych. W tym samym czasie, kiedy wice król polecił mi znieść handel niewolnikami i ustanowić regularną zamianę produktów; gdy okolice Nilu i wszystkie jego odnogi, miały być przyłączone do państwa wice króla; w tym samym czasie powtarzam, zostały one wypuszczone za kilka tysięcy funtów rocznie przez generalnego gubernatora Sudanu. Było prawie do nie uwierzenia, by takie nadużycia mogły się dziać po wydaniu surowych w tym względzie rozporządzeń przez wice króla Egiptu.

Czynnym reprezentantem Achmeta Schaik Agad, był jego pasierb, Abou Savod, z którym nie raz w ciągu tej wyprawy mieliśmy do czynienia. Był on obecny kiedym ostatnie podpisywał układy z jego pryncypałem, poprzysiągł wierność, ale w sposób, który wiele dał do myślenia, przyczem zawarł ze mną umowę, że dostarczać będzie żywności dla żołnierza, jako też zaopatrywać nas zawsze w ludzi potrzebnych do przenoszenia nasnych bagaży, po cenie naprzód ugodzonej. Winien był również na przypadek wojny z krajowcami przysłać nam zasiłek w ludziach, których miał koło 1800 w okolicach podległych pod mój zarząd.

Tymczasem 6. października pocztą z Kairu przyszły wiadomości o bitwie pod Sedanem, o wzięciu w niewolę cesarza Napoleona, o rewolucji w Paryżu i upadku dynastji Bonapartych. Nigdy tyle i tak ważnych nowin nie zawierała jedna depesza; najbardziej żal mi się zrobiło pana de Bizemont. Był on jednym z faworyzowanych jenerałów, a udział jego w naszej wyprawie bardzo mi był przyjemnym. Naraz trzeba było się pożegnać z naszym miłym towarzyszem, który ze ściśnionem sercem i zdruzgotanemi nadziejami musiał coprędzej wracać, aby dzielić niepewne losy swojej ojczyzny. W kilka dni później opuściliśmy brudne i w tej porze błotniste miasto Khartum, w którem zostawiłem naszego doktora p. Gedge, bardzo chorego. Wkrótce zaś doszła nas wiadomość o jego śmierci; była to wielka strata dla nas, nieboszczyk bowiem należał nie tylko do zdolnych lekarzy, lecz także do uczonych botaników i naturalistów.

Nareszcie nadszedł dzień naszego odpłynięcia i powtórnego usiłowania przedarcia się przez zarosłe koryto Nilu. Chociaż stan wody był teraz na punkcie kulminacyjnym, musieliśmy jeszcze z niejedną walczyć zaporą, zanim dostaliśmy się na wody Białego Nilu. Położenie moje stawało się coraz przykrzejsze; na mnie bowiem spoczywała cała odpowiedzialność za przeprowadnenie 1.600 ludzi, ogromnego ładunku towarów i wszelkich do ekspedycji potrzebnych materjałów. W dodatku przewodnik nasz zupełnie się nie rozpoznawał w tej chaotycznej okolicy. Były chwile prawdziwej rozpaczy; zewsząd otoczeni wysoką trawą lub pływającemi kożuchami, nie mieliśmy nawet dostatecznej głębokości wody, jakiej potrzebowały nasze okręty; trzeba było nie raz wyrzucać w muł nadbrzeżny cały ładunek, żeby ulżone statki mniej zabierały wody, a w końcu i ten ratunek okazał się niedostatecznym. Musieliśmy wtedy zabrać się do usypania tamy w dole rzeki, przez co zatrzymana woda podnosiła się do wysokości niezbędnej dla okrętów. Z wielkim mozołem i pracą wypłynęliśmy nareszcie z Bahr Giraffe na Biały Nil, przewiózłszy częściowo ładunek na brzeg wyrzucony i po długich dniach smutku i zwątpienia, puściliśmy się wesoło w dalszą podróż.

VII.

Walka z hipopotamami.

Wody jeziora, którym wpłynęliśmy na Biały Nil, były hipopotamami prawie zasiane. Robiąc pewnego dnia wycieczkę w mojej łodzi dla zbadania południowych brzegów jeziora, które znalazłem ciągnące się wzdłuż na ośm mil angielskich, spotkałem hipopotama, i byłem nieco zatrwożony o całość mojej łodzi, do której z demonstracjami wielkiej nieprzyjaźni zbliżał się ten potwór. Woda w tem miejscu była głęboką na pięć stóp i sześć cali, tak że ten olbrzym wyrzucając od czasu do czasu wodę nozdrzami zbliżał się zanurzony cicho ku łodzi: lekkie tylko kołysanie fali na powierzchni oznaczało mi linję, którą się posuwał; naraz wystawił monstrualną głowę o jakie 20 łokci od łodzi, i w tej samej chwili moja kula eksplodująca, wymierzona pod same oko, przerwała mu dalsze objawy złości. Wkrótce drugi hipopotam w podobny sposób zakończył życie. Poczem wydobywszy z łodzi harpun do liny umocowany, do której przyczepiony był pływak drewniany na czerwono malowany, wbiłem go w ciało hipopotama, a naznaczywszy tym sposobem dokładnie miejsce jego podwodnego położenia, popłynąłem do statku po pomoc dla wydostania mej zdobyczy, której mięso wiedziałem, że będzie bardzo radośnie przyjęte przez moich ludzi, pozbawionych od dłuższego czasu tak pożywnego pokarmu.

Powróciwszy do ubitych potworów, rozebraliśmy jednego, mięso układając w łodzi; na drugiego zaś nie było już czasu: słońce się zniżyło, trzeba było powracać; przeciągnęliśmy tylko linę przez tylne nogi nieboszczyka i tak ciągnięty popłynął za nami na miejsce, gdzieśmy zarzucili kotwicę. Przed wieczorem zaczęły się zwykłe przygotowania na nocleg. Mieliśmy dużo służby męskiej i żeńskiej na pokładzie, która zaczęła rozpinać swoje zasłony, chroniące od muskitosów, i wsuwać się pod nie na nocny spoczynek; majtkowie czas jakiś pogawędziwszy ułożyli się także do snu i wkrótce na całym statku tylko warta jedna czuwała, gotowa na wszelki wypadek. Noc była zimna, księżyc świecił jasno, odbijając się w spokojnej wodzie jeziora. Miałem zwyczaj spać zawsze na tylnym pokładzie okrętu, który był wygodnie wysłany dywanami, z urządzeniem sof i siedzeń; usnąłem właśnie snem jak najsmaczniejszym, gdy nagle zbudził mnie gwałtowny plusk wody, odzywający się tuż przy statku z towarzyszeniem dzikiego i przeraźliwego parskania wściekłego hipopotama. Zerwawszy się na równe nogi, ujrzałem okrutną bestję, gotującą się uderzyć na statek. Pokład był cały pokryty śpiącymi, a zasłony poprzyczepiane w różnych kierunkach, uniemożliwiały przejście; zacząłem szarpać powiązane płótna budząc śpiących; mój służący, Suleiman, leżał najbliżej drzwi kajuty; krzyknąłem by mi podał strzelbę; zanim jednak zastraszony mógł broń przynieść, hipopotam z wściekłością nie do opisania rzucił się ku naszym łodziom. Jednem uderzeniem zatopił cynkową łódź z całym zapasem w niej złożonego mięsa, poczem trzask kruszonego drzewa oznajmił mi zgniecenie drugiej, najuprzywilejowańszej łodzi, którą hipopotam w swym olbrzymim trzymał pysku. W tej chwili ukazał się Suleiman z nienabitą bronią; poczciwiec nigdy się nie odznaczał przytomnością, a w tej chwili był takim nerwowym zdjęty strachem, że tracił prawie zmysły. Wszyscy ludzie na pokładzie już się byli pobudzili, wrzeszcząc co im sił starczyło w myśli odstraszenia potworu; lecz ten nie zważając na hałas piekielny atakował nas bez przestanku z zaciekłością jaką mi się tylko wydarzyło widzieć u buldoków. Tymczasem dostałem broń i kule eksplodujące, ale wściekłe monstrum tak szybkiemi ruchami przypuszczało szturm do sta-

tku wznosząc koło siebie bałwany tworzące chmurę piany, i wyrzucając ustawicznie wodę nozdrzami, iż niepodobieństwem było dla mnie wymierzyć w ten mały, lecz tak śmiertelny punkt pod okiem. Szczęściem księżyc świecił jasno, i gdy hipopotam wynurzył nareszcie głowę zbliżając się do nas, posłałem mu kulę; z wielkiem atoli moim zdziwieniem wypłynął za chwilę, ponawiając swoją zabawkę. Raczyłem go tak strzał za strzałem, lecz fale, które podnosił gwałtownemi ruchami, kołysały cały statek, przez co nie mogłem go dobrze wziąć na cel; w końcu widocznie niebezpiecznie raniony, usunął się, chowając w wysoką nadbrzeżną trawę, a chrapanie tylko i wyrzucanie wody oznajmiało nam jego obecność. Myśląc że już szczęśliwie zakończy swój żywot doczesny, ułożyliśmy się do snu, ja z moją strzelbą przy boku, u której na wszelki przypadek obwinąłem wizer w biały papier, bez czego w nocy strzał jest zawsze niepewny. Ledwieśmy zasnęli, kiedy gwałtowny plusk wyrwał nas z miłego spoczynku. Wściekła ta bestja na nowo do nas się zbliżała, jak gdyby nigdy nie była postrzelana; w jednym susie byłem na stanowisku i przywitałem go strzałem w samą głowę. Skutek był znamienity; hipopotam przekoziołkował się kilka razy i pozostając chwilę wywrócony na grzbiecie, bił wszystkiemi czterema nogami, podnosząc fale w około siebie; w tym rozpaczliwym stanie odpłynął od nas, ciągniony prądem wody. Teraz nie wątpiliśmy że był zabity; z wielkiem jednak naszem zdziwieniem usłyszeliśmy go znowu pluskającego; płynął wolno ku brzegowi; tam ukryty w trawie chrapał i parskał czas jakiś. Czekałem jeszcze chwilkę, czy się nie ruszy, poczem ułożyłem się do snu z bronią zawsze w pogotowiu. Nie długo dał mi spoczywać; za chwilę usłyszałem nowy plusk wody, i ujrzałem hipopotama wolno płynącego rzeką; dałem strzał, który jednak nie przeszkodził mu w podróży; dopłynąwszy do brzegu, odwrócił się, pozostając na mieliźnie, co mi ułatwiło strzał w samą łopatkę, gdy całe ciało wystawało z wody; skoczywszy ugodzony padł jak bryła, gdyż tym razem był już rzeczywiście zabity. Na drugi dzień zrobiłem pośmiertne badanie, z czego wynikło, że ten potwór dostał trzy strzały w bok i łopatkę, cztery w głowę, jeden mu rozerwał dolną szczękę, a jeden przeszywszy nos, wybił mu olbrzymie zęby. Nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć takiej niczem nie spowodowanej wściekłości; był on widocznie hardej natury, gdyż całe jego ciało było pokryte ranami i bliznami, które musiał odnieść w walce ze swemi towarzyszami. Mięso znajdujące się w łodzi było prawdopodobnie powodem jego ataku. (C. d. n.)

POGADANKI.

XX.

Nim zespoliła się pierwotna ludność Rzymu, trwały długo walki między patrycjuszami i plebejczykami, i ci ostatni pewnego razu wynieśli się byli z miasta i dopiero Agrippa bajką o członkach ciała, zbuntowanych przeciw żołądkowi, nakłonił ich do powrotu. We Lwowie, jak wiadomo, kasyno mieszczańskie było widownią podobnego wypadku, tylko że tutaj plebejczycy zostali na miejscu, tj. w pałacu Ulenieckich, a patrycjusze wyprowadzili się na plac św. Ducha do domu ozdobionego figurami kamiennych rycerzy, z których jeden w r. 1848 poniósł szwank od kuli armatniej, uwieńczony dotychczas łacińskim napisem. Otóż Bogu dzięki, znalazł się i u nas Agrippa, którego nazwisko wszelako nie jest znanem i z tego powodu nie może być przekazanem potomności. Nie wiadomo także, jaką bajkę opowiedział zbuntowanemu żołądkowi stolicy, i jakim sposobem zdołał przekonać go, iż powinien przyjmować pokarm i trawić go ku pożytkowi innych części ciała. Dosyć, że patrycjusze wrócili z placu Św. Ducha na plac Halicki, że obydwa separatystyczne wydziały ustąpiły, a dzisiaj wybrany będzie na ich miejsce nowy wspólny prezes i wspólny wydział. Oby, jak połączenie się patrycjuszów z plebejczykami zainaugurowało wielkość Rzymu, tak też i wielkość Lwowa wzięła swój początek z tego zlania się patrycjuszowskiej resursy z plebejuszowskiem kasynem! Obyśmy czemprędzej pobili Pyrrhusa, i Brennusa, i Hannibala, i oby cały szereg Fabrycjuszów, Scypjonów i Regulusów zajaśniał w naszych rocznikach!

* * *

Miło mi donieść, że zanosi się już potroszę na coś podobnego. Lwów zbroi się, i to na serjo, a nie na żarty, jak to bywało za czasu „Orłów Białych.“ Towarzystwo strzeleckie ma zamiar przemienić się w korpus zbrojny, obywatelski, i w tym celu wybrało dwie komisje, z których jedna radzić ma o ułożeniu statutów, a druga, o ważniejszej kwestji koloru i kroju mundurów i o całym rysztunku obywatelsko-strzeleckim w ogóle. Ponieważ korpus nie będzie licznym, a tem samem, będzie miał mało oficerów i mało otworzy widoków na awans, więc słusznem wydaje się podniesione z wielu stron żądanie, ażeby każdy szeregowiec wyglądał zaraz w początkach swojej wojskowej karjery jak jaki zagraniczny jenerał. Komisja ma przeto nie szczędzić złotych szlif i sznurów, piór i guzików. Optymiści mają nadzieję, że korpus będzie zatwierdzonym przez władzę, zorganizowanym, umundurowanym i wymustrowanym na czas, w którym ojczyzna najbardziej będzie czuła jego potrzebę, tj. na czas przyjazdu cesarza austrjackiego do Lwowa.

Drugim zawiązkiem obywatelskiej siły zbrojnej stać się może tworzące się towarzystwo miłośników jazdy konnej, którego organizatorem jest następca śp. Leśniewicza, p. Boznański. O utworzeniu flotyli łodzi kanonjerskich mam już wprawdzie także niektóre wiadomości, ale ich nie drukuję, obawiam się albowiem, że to co już powiedziałem wystarczy, ażeby zaniepokoić grody sąsiednie, jako to: Jaryczów, Szczerzec, Nawarję, Gródek i Janów, o ich niepodległość. Nadmienię wszelako, że według moich informacyj, naczelnym wodzem armji lwowskiej mianowany być ma adwokat dr. Hryszkiewicz, co niezawodnie uśmierzy wszelkie obawy wojenne i obudzi nadzieję załatwienia wszystkich spraw spornych w drodze pozwu, obrony, repliki, dupliki i spisu aktów

* * *

Wypadek, którego ofiarą padła znakomita śpiewaczka, panna Wanda Kleczkowska, jest dowodem, że i ta „droga prawna,“ na której załatwiane bywają spory obywatelskie, nie znajduje się w lepszym stanie od dróg autonomicznych. Panna K. z powodu przybycia Pauliny Lucca otrzymała była urlop od dyrekcji Opery Komicznej w Wiedniu, i wyjechała do Lwowa na występy gościnne. Jak każda prawie artystka, panna K. miała w sklepach rachunki do zapłacenia. Otóż jedna z jej wierzycielek, zamiast upominać się o zapłatę w drodze cywilnej, udała się do sądu karnego z przedstawieniem, iż p. K. uciekła z Wiednia. To wystarczyło, ażeby kazano uwięzić śpiewaczkę w chwili, gdy miała udać się na koncert we Lwowie, w którym udział jej był zapowiedziany. Odstawiono ją do Wiednia i wytoczono śledztwo na podstawie, jakoby miała wyłudzać kredyt, udając „polską hrabinę“ i nie mając środków na zapłacenie długów. Teraz dopiero, w rozprawie publicznej, wyszło na jaw, że wierzyciele nie byli w błędzie i wiedzieli doskonale iż mają do czynienia ze śpiewaczką Komicznej Opery, jakoteż, że panna K. głosem swoim zarabia za pół roku więcej, niż wynosiły wszystkie jej długi. Przysięgli uniewinnili ją jednomyślnie, i pokazało się, że zbytnia gorliwość oskarżyciela publicznego i sędziego śledczego, wyrządziła obwinionej krzywdę i szkodę, której nikt powetować nie zdoła w zupełności. Zaszczytnem jest wszelako dla publiczności wiedeńskiej, iż wypadek ten obudził ogólne sympatje ku naszej śpiewaczce, zapowiadają też ogromny udział w koncercie, który panna K. dać zamierza. Niewątpliwie, gdyby przybyła do Lwowa, doznałaby także jak najlepszego i najserdeczniejszego przyjęcia.

* * *

Skoro już dzisiaj, z „pogadankarza,“ stałem się prawdziwym nowiniarzem, wypada mi jeszcze dodać, że „Przedświt“ hr. Jana Tarnowskiego, który dwa razy zwyciężył w Petersburgu, odniósł dwa nowe, świetniejsze jeszcze tryumfy w Peszcie. Wziął nagrodę rządową, wynoszącą 1000 sztuk 10 frankówek złotych, i pobił przy tej sposobności najsławniejsze konie austrjacko-węgierskiej monarchji. Podczas gdy „Przedświt,“ mówiąc językiem turfu, „lekko“ był pierwszym, „Cagliostro“ hr. Esterhazego utrzymał się na drugiem miejscu tylko pod wielką presją szpicruta i ostrogów, a „Lady Patroness“ p. Baltazzego, dotychczas niezwyciężona, i w piętnastu biegach obdarzona pierwszą nagrodą, była tym razem czwartą. Po tem zwycięztwie, wywalczonem 9 maja, 11 bm. z 31 koni zapisanych do biegu „Produce-stakes,“ tj. do biegu koni własnego chowu, żaden nie chciał współzawodniczyć z „Przedświtem,“ który wziął nagrodą, sam jeden obiegłszy arenę. Przepowiadają mu zwycięztwo w „Derby“ wiedeńskiem, po którem ujrzymy go we Lwowie, gdzie tym razem tylko jeden koń obcokrajowy kusić się będzie o główną nagrodę rządową. I oto, co nam przyniósł najnowszego i najlepszego rozwój „pracy organicznej.“

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

(*Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma; pamiętników XVIII wieku tom XV; przekład J. I. Kraszewskiego. — Nakładem J. K. Żupańskiego; Poznań — 1875.*)

Nie da się zaprzeczyć, że najważniejszym dla nas, choć zarazem najsmutniejszym perjodem naszej historji, jest schyłek ośmnastego wieku, czas, w którym utraciliśmy byt polityczny. Wyświecenie przyczyn tego tragicznego, bezprzykładnego w dziejach Europy wypadku, a zarazem wysnucie z tego nauki dla przyszłych pokoleń — oto najwdzięczniejsze i najpożyteczniejsze zada-

nie polskiego dziejopisa. Dziwić się należy, że właśnie ten grunt tak płodny w wypadki, leżał u nas dotychczas prawie odłogiem. Być może, że przyczyną tego była uczuciowość naszych historyków, niechcących zajmować się tym smutnym przedmiotem. Dopiero w ostatnich czasach znaleźli się ludzie pełni bystrego krytycyzmu i obszernej nauki, którzy się zabrali z zamiłowaniem do zbadania historji naszego politycznego upadku. Prace ich, a szczególniej znakomitsza z nich „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta“ Walerjana Kalinki, są trwałym fundamentem, na którym przyszli historycy zbudują smutną świątynię ostatnich lat naszej historji przedrozbiorowej, pełną łez, krwi i bohaterskich uniesień. Gmachu takiego nie można zbudować odrazu, potrzeba naprzód zgromadzić materjały, które są nadzwyczaj liczne, a po części leżą niedostępne, ukryte po zapylonych półkach archiwów, rozbiorowych mocarstw. Historja nowożytna przedstawia dla historyka najwięcej trudności: pogmatwane stosunki dyplomatyczne, wywierające w nowszych czasach wszechwładny wpływ na kształtowanie się dziejów, nadzwyczaj są trudne do zbadania po większej części dla tego, że zrozumienie ich zależy od dokładnego poznania osobistości odgrywających w nich rolę. Urzędowe akta, jeżeli nawet znajdują się, nie dadzą dokładnego wyobrażenia o historji, są one tylko zręcznem sformułowaniem tego, co się działo, ale nie objaśniają dróg, za pomocą których fakt dziejowy przyszedł do skutku. Jedyną ucieczką dla historyka w tym zawiłym labiryncie not, depesz, odpowiedzi itd. są pamiętniki. Im więcej takich pamiętników i im one są wiarygodniejsze, tem jaśniejszą staje się historja. One są tem w historji, czem w obrazie koloryt i oświetlenie: sprawiają, że postacie występują plastycznie. Znakomitą zasługą około polskiego dziejoznawstwa położył pan Kraszewski wydając „Pamiętniki z ośmastego wieku,“ które właściwiej zatytułować by należało „Pamiętnikami z końca XVIII wieku“ bo wszystkie tomy dotychczas wydane odnoszą się do czasu między 1770 a 1794 rokiem. W tym roku opuścił prasę tom XV. tego wydawnictwa zawierający „Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma,“ posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego szwedzkiego podczas sejmu czteroletniego, a następnie kanclerza państwa w Szwecji. Zanim przystąpimy do zdania sprawy o samych „Pamiętnikach“ obejmujących spory tom in 8vo o 257 stronicach, należy się choć kilka zdań poświęcić autorowi tychże. Wawrzyniec (Lars) Engeström, urodzony r. 1751 w Refvelstad w Westmanlańskiej prowincji, był trzynastym z rzędu potomkiem biskupa Jana Engeströma, profesora języków wschodnich i podkanclerzego uniwersytetu w Lundzie. Skończywszy w r. 1770 nauki uniwersyteckie w Lundzie poświęcił się zawodowi dyplomatycznemu. W r. 1773 został drugim sekretarzem króla, a w trzy lata później szefem biura. Karjerę dyplomatyczną rozpoczął w Wiedniu (1782) jako Chargé d'affaires ambasady szwedzkiej. Bawił tam lat pięć, a w r. 1787 po wybuchu wojny między Rossją a Szwecją wysłany został w misji dyplomatycznej do Warszawy, a więc właśnie w czasie, gdy stronnictwo patrjotyczne przygotowywało w skrytości materjały do wiekopomnej budowy konstytucji 3go maja. Jeszcze podczas swego pobytu w Wiedniu poznał się z naczelnikami partji postępowej, a mianowicie z J. U. Niemcewiczem, a przyjechawszy do Polski odrazu wszedł w zażyłe stosunki z patrjotami, których wspierał wpływami i radą. Czynił to z jednej strony wskutek prawdziwej miłości, którą powziął dla nieszczęśliwego kraju, a po drugie w interesie Szwecji, której niezmiernie wiele zależało na złamaniu potęgi rossyjskiej w Polsce. W Warszawie poznał się z panną Rozalją Chłapowską, pokochali się oboje i pobrali, mimo sprzeciwiania się opiekuna panny, marszałka Gurowskiego, jurgieltnika moskiewskiego. Za żoną otrzymał Engeström w posagu dobra w Wielkopolsce. Stronnictwo patrjotyczne oceniając zasługi zacnego dyplomaty wniosło na sejmie w r. 1791 przez usta Niemcewicza, posła, Inflantskiego, do laski marszałkowskiej projekt o udzielenie Engeströmowi indegenatu polskiego, co Izba jednogłośnie przyjęła. W ten sposób poseł szwedzki został szlachcicem polskim. Odwołany z Polski został mianowany kanclerzem państwa w Szwecji, jeździł następnie w rozmaitych poselstwach do Anglji i Wiednia, a przy końcu życia osiadł stale w swym majątku, we wsi Jankowicach w Poznańskiem, gdzie też 19. sierpnia 1826 r. życia dokonał. Był to człowiek w całem tego słowa znaczeniu poczciwy, serce miał szlachetne i sposób myślenia jak na swe czasy bardzo liberalny. Do swojej drugiej ojczyzny przywiązał się całem sercem, bolał z nią razem i cieszył się razem jej pomyślnością. Od pierwszej chwili, gdy wstąpił na ziemię polską żywił przyjazne uczucie dla nieszczęśliwej naszej ojczyzny, a z otrzymaniem indegenatu uczucie to jeszcze nim się spotęgowało. Z każdej karty jego pamiętników widać żywą sympatję dla Polski. Pamiętniki tego męża, które obecnie pojawiły się w druku w przekładzie J. I. Kraszewskiego, pisane są po części po szwedzku, po części po francusku i zawierają w sobie opis całej karjery politycznej Engeströma. Pisane są bezpretensjonalnie — widać ze autor pisał je nie do druku, tylko dla szczupłego koła swoich najbliższych. To przemawia najwięcej za ich wiarygodnością, choć nawet i w przeciwnym wypadku, gdyby były specjalnie pisane dla ogółu, charakter autora nie pozwalałby powątpiewać o prawdomówności. Szczegóły w nich zawarte nie odnoszą się specjalnie do historji polskiej, zaledwie czwarta część całej książki traktuje o stosunkach Polski, reszta zawiera materjały do historji obyczajów i dyplomacji innych narodów. Szczegóły te, które się nas tyczą, są po większej części anegdotycznej natury. Engeström, jak się można było spodziewać, nie pisał wiele o wypadkach politycznych w Polsce podczas swojej u nas bytności, ale przedewszystkiem szkicował podług swoich spostrzeżeń obyczaje owoczesne, i ludzi wpływowych, z którymi jako dyplomata miał do czynienia. Z jego pamiętników historyk nie dowie się ani jednego nowego faktu, ale za to znajdzie w nich odmalowanych ludzi ze ścisłością anatoma i drobiazgowością rodzajowego malarza.

(D. n.)

Listy z Niemiec.

IV.

(Ciąg dalszy.)

Berlin w Kwietniu 1875.

Prosimy jednak jeszcze na chwilę do Hartmanna. Przed paru tygodniami wydał: *Wahrheit und Irrthum im Darwinismus* (Berlin 1875). Jeśli dobrze pamiętam, pracę tę widziałem w roku zeszłym drukowaną odcinkami w *Literatur*. Jak Dühring tak i Hartmann z racji swej filozoficzności uważa się za kompetentnego do sądzenia o kwestjach nawet najdalej od niego leżących. Co Darwin lękliwie wypowiedział po kilkudziesięciu latach ciężkiej pracy przy genijalnych uzdolnieniach, to niemiecki filozof załatwia po krótkich medytacjach nad Darwinem. Prawdę mówiąc droga do zarzutów ułatwiona. Bo gdy znakomici oponenci wielkiego angielskiego myśliciela odsłonią wszystkie słabe strony jego teorji, potrzeba tylko wziąć od nich gotowe argumenta i wprawić je w ramy własnego systematu. To właśnie zrobił Hartmann. Dawno postawione zarzuty, że zasada mechanicznego działania sił kierujących rozwojem nie tłumaczy wszystkich zjawisk, puścił w swojej przyprawie i ze swoją etykietą. To cała zasługa — a co obok niej jeszcze się w jego książce mieści, nie warte wielkiej uwagi i na szczęście niezbyt zrozumiałe...

Z tego com wyżej zanotował, tj, z miesięcznego rachunku w rubryce filozofji wypada, że najważniejszem w niej zjawiskiem był... niestety! przedruk wszystkich dzieł Leibnitza, których pierwszy tom ukazał się (Berlin 1875) pod kierunkiem E. J. Gerhardta.

Za to w innym dziale przybyło niemieckiemu piśmiennictwu kilka prac bardzo cennych. Mam na myśli historję i bez wahania pierwsze miejsce przysądzam dziełu Hermana Reutera: *Geschichte der religiösen Aufklärung im Mittelalter* (Berlin 1875). Tytuł tej książki niezupełnie właściwie ją tłumaczy. Autor bowiem nie pisze dziejów rozszerzania się i umacniania chrystjanizmu ile raczej dzieje protestów niepodległej myśli wyzwalającej się z pod religijnego despotyzmu. Tą stroną zwrócony przedmiot nabiera dla nauki wielkiego interesu. Przybor naukowy, z jakim Reuter do niego przystąpił, jest olbrzymi. Erudycja zaś w tym wypadku ma podwójną wartość. Bo nie dość poznać ile, ale nadto co autor przeczytał. Dokumenty religijnych sporów i odszczepieństw w wiekach średnich należą do źródeł najmniej zużytkowanych i najmniej powabnych. Kopać się w koszu plewów jeszcze przed urodzeniem spróchniałych, szperać w zabytkach będących stosem pustych słów, zaledwie kiedy niekiedy jakąś nową iskrą ożywionych, bez ustanku rozkręcać i zwijać jednostajne pasmo religijnych subtelności, ażeby w niem wynaleźć jakąś złotą lub bodaj życiem zafarbowaną nitkę, jest to tak przerażająca praca, iż dotychczasowe unikanie jej jest bardzo usprawiedliwionem. Nie zraziła jednak Reutera. Szukał, grzebał nieraz stąpał po ciemku bez żadnego światełka lub przewodnika, nieraz tracił nadzieję i wiarę w swe siły, aż wreszcie co mu się udało zdobyć, przedstawił w pierwszym tomie swej Historji. Popełniłbym przesadę w swym szacunku dla wielkich trudów i naukowej zasługi tego badacza, gdybym jego usiłowania koronował zupełnem powodzeniem a siły nazywał wyjątkową zdolnością. On sam nie ma do tego pretensji i aż z krzywdą skromnie ceni swą wartość. Nie ulega jednak wątpliwości, że dla badających dzieje religijnego rozwoju w wiekach średnich praca jego będzie wielką, może najważniejszą, a w każdym razie źródłową pomocą.

Znane zbiorowe wydawnictwo pod imieniem *Geschichte der europäischen Staaten* puściło w obieg znowu dwa tomy, z których jeden jest dalszym (piątym) ciągiem Historyi Szwecji Carlson'a, a drugi takimże (czwartym) ciągiem Historji Polski Cara. Stanowisko naukowe obu jest o tyle określone przy poprzednich wystąpieniach, że obecnie uwalnia mnie od szczegółowej ich charakterystyki. Caro wreszcie jako autor tejże właśnie Historji Polski był raz przedmiotem dość obszernego sprawozdania w „Tygodniu“ a w tej roli tylko w takich ramach może być sądzony. Jeżeli więc on dla polskich czytelników przedstawia specjalny interes, to w żadnym razie lakoniczna notatka, jaką mu w tym liście poświęcić mogę, zajęciu temu zadość uczynić nie byłaby w stanie. W miejsce zaś sumarycznego wyroku robię uwagę, że pisma polskie zajmujące się kontrolą prac nad historją naszą, powinne przedewszystkiem ściśle anaalizować obce, gdyż te to prace a nie polskie są kodeksem i modelem słownych i pismiennych opinij Europy o nas.

Świeżem historycznem dziełem, które żadnemu współcześnie nie ustępuje, a wiele przewyższa, jest *Deutsch-Lothringen* (Stuttgard 1875 — C. H. Th. Huhna.) Specjalność tej monografji, nie jest bynajmniej miarą jej ram. Praca ta bowiem obszerna, a

tak pakowna, że w nią autor zmieścił absolutnie wszystko co z życia niemieckiej Lotaryngji przekopjować było można. Ponieważ drukowanych źródeł nie zawsze starczyło, a często ich zupełnie brakło, więc musiał tropić na miejsce wszelkie inne. Z tego urosła książka znaczna, przedmiot swój całkowicie wyczerpująca i dla nauki podstawowa. Patrząc na nią podziwiać trzeba straszną energję tego plemienia, które umie jednego roku bronią coś komu wydrzeć, drugiego — łup w swój gmach wmurować, a trzeciego — tak ów łup na wszystkie strony przeniknąć, że w nim ani jedna pora skrytą nie zostanie. W tej sprawie sołdatowi przybywa na pomoc policjant, policjantowi — uczony. Gdyby raz zaginęły w biórach pruskich jawne i sekretne doniesienia z Lotaryngji a pozostała tylko książka Huhna, administracja potrzebowałaby tylko zapatrzyć się w jej egzemplarz. Z nią Moltke mógłby staczać bitwy... Przez te właśnie zalety nie tylko dla milicji i sztabu ale i dla nauki — znakomita.

Niemcom brak talentu pisania tego, co Francuzi i Anglicy nazywają *essais*. Zbadać jakiegoś autora, uchwycić jego charakterystyczne rysy i nakreślić niemi wyrazisty obraz umysłu przybrany w lekką i powabną formę — tajemnica tej sztuki jest Niemcom nieznana. Oni są sumienni, to o czem piszą znają; w ogólności gromadzą duży materjał ale nie umieją zeń korzystać. W ich literackim portrecie rozpoznasz kolejno każde pociągnięcie. Wszystko jest luźne — niespojone — niezrosłe. Może wam się kiedykolwiek zdarzyło czytać *Historję Literatury angielskiej* najznakomitszego dziś estetyka francuskiego Taine'a. Co to za wspaniała galerja mistrzowsko malowanych postaci. Kiedy autor mówi o Walterskocie lub Thackeray'u zdaje się, że mówi o jakimś bardzo ciekawych losów bohaterze powieści. Pod jego piórem pisarz tak zlewa się w jedną całość z człowiekiem, że zawsze widzisz tylko jednego Walterscotta lub Thackeraya, nigdy nie możesz uchwycić tej chwili kiedy oni wkładają na siebie mundury znakomitych lub szlafroki zwykłych ludzi. Niemiec na to zdobyć się nie umie. W jego opracowaniu każdy pisarz na przemiany występuje to w urzędowym, to w prywatnym stroju. Nadto sposób traktowania rzeczy jest zwykle suchym, uczonym wykładem ożywionym o tyle tylko o ile żywym jest sam przedmiot. Typem właśnie tego rodzaju pisania są podrabiane na wzór francuski *Charakterbilder aus der Zeitgenosischen Literatur* (Leipzig 1875). Jest tu dużo erudycji, trafnych uwag, słowem wszystkiego, oprócz sztuki pięknego, plastycznego przedstawienia. Kto chce znaleźć różnicę niech porówna tę książkę z wytłumaczoną świeżo na niemiecki język monografją Forstera o *Dickens'ie*, niech wreszcie przypomni sobie najlepszą bijografję Goethego napisaną przez znakomitego angielskiego filozofa Lewes'a*). Tu postacie żywe i całkowite — tam martwe i posiekane. Obecny tom dzieła Schmidta zawiera dopełnienienia do poprzednich a przytem nowe szkice charakteryzujące: Rosenkranz'a, Fallersleben'a, Haupt'a i innych. Przyznać wszakże trzeba, że zupełnie objektywny wykład nieźle zastępuje niedostatki talentu.

Jeszcze bardziej suchym, chociaż za to naukowo ważniejszym jest traktat Marcusa Landau *Beiträge zur Geschichte der Italiemschen Novelle* (Wien 1875). Autor znany bijograf Boccacia zajmuje się w obecnej rozprawie naśladowcami aż po wiek XVIII. „Z bajek, legend i resztek starych mytów zrodzona nowella, przyjęła potem nowożytne pierwiastki i codzienne zdarzenia, albo raczej zmodernizowała stare powieści w duchu swego czasu i złożyła wierny obraz obyczajów i pojęć czasu swego powstania.“ Po tych słowach autora musimy się spytać: dla czego nie napisał istotnie ciekawej historji noweli, tem więcej że ją znał? Nowella przypomina mi obowiązek zanotowania, że ukazał się w handlu nowy zeszyt dzieła: *Geschichte Kunstmythologie* (Leipzig 1875) J. Overbecka. Zeszyt ten będący trzecią księgą II części 2 tomu traktuje o *Pozeidonie*. Autor zbyt jest znany jako najznakomitszy dziś niemiecki historyk sztuki ażebym go potrzebował zachwalać.

(D. n.)

*) Niektórym czytelnikom znana z polskiego przekładu.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dawny zabytek języka polskiego w żywocie Ojca Amandusa opisał ks. Ignacy Polkowski. Gniezno u J. B. Langiego 1875.

Broszura pod powyższym tytułem wydana w stu egzemplarzach, ma na celu zwrócić uwagę Akademji umiejętności na rękopiśmienny zabytek języka, pochodzący podług domniemymań autora z samego końca XV lub początku XVI stulecia (1480 — 1502). Rękopis będący w posiadaniu ks. Polkowskiego jest treści ascetycznej. Zawiera opis świątobliwego życia niejakiego Amandusa, braciszka zakonu reguły św. Dominika w niemieckiem mieście Ulm. Życiorys ów skreślony został współcześnie (między r. 1477 a 1480) w języku łacińskim przez ks. Feliksa Fabra, tejże reguły zakonnika. Kto go przepolszczył, niewiadomo. Autograf polski jest bez początku i końca, stronic liczbowanych własną ręką ks. Polkowskiego liczy 262. Pod względem objętości byłby to zatem obok „Psałterza królowej Małgorzaty“ i „Biblji królowej Zofji“ tudzież obok „Ortylów prawa magdeburskiego“ jeden z ważniejszych zabytków dawnego naszego języka. Czy to samo tyczy się także treści, badanie dopiero okaże. Podwojonych samogłosek, które jak wiadomo służyły na oznaczenie iloczasu, przekreślonego *O* na wyrażenie nosowych *Ę*, *Ą*, nie masz w tym rękopisie; form nieściągniętych w czasowniku także już podobno nie widać. Ks. Polkowski podał dokładny opis manuskryptu, zamieścił kilka szczegółów bjograficznych tyczących się tak O. Amandusa jak i O. Fabra, poczynił nad językiem i ortografją rękopisu swoje uwagi, podał wreszcie dość liczne wyjątki z tekstu, dołączając na końcu broszury facsimile jednej karty wykonane za pomocą fotodruku. Akademja umiejętności poleciła już podobno właściwej komisji rozpatrzenie się w tym nowym zabytku naszego języka celem orzeczenia, czy tenże godzien jest ogłoszenia drukiem. Nam się zdaje, że z samej broszury ks. Polkowskiego ostateczną decyzję w tej kwestji powziąć będzie trudno i tylko pilne zbadanie całego rękopisu rozstrzygnąć tu może. Komisja nie powinna polegać na wyjątkach przytoczonych przez ks. Polkowskiego, zwłaszcza że nie masz rękojmi, czy wszystko dobrze odczytane. Że szanowny posiadacz manuskryptu w kwestjach językowych mylić się może, okazuje to nietylko przekład podanego tekstu na język dzisiejszy, ale i niektóre uwagi autora np. iż rękopiśmienne „vszacz“ stoi zamiast „wziąć“ lub „myedzwec“ zamiast niedźwiedź, choć nie podlega wątpliwości, że forma „wziąć“ jedynie jest poprawną, a dawne „miedźwiedź“ właściwsze jest niż nasze „niedźwiedź“; wyraz ten bowiem powstał ze słów „miód“ i „jeść“, o czem poucza gramatyka porównawcza.

— Powierzchnia ziemi i jej klimat. Napisał Dr. Sieniawski; Śrem — 1875.

Z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy tę broszurę, która lubo obejmuje tylko 84 stronic, zawiera jednak wszystko, co człowiek wykształcony powinien wiedzieć w przedmiocie poruszonym przez autora. Pracę swoją podzielił Dr. S. na rozdziały następujące: 1) Ląd stały. 2) Morze. 3) Atmosfera; klimat słoneczny. 4) Słońce jako jedyne źródło ciepła. 5) Wiatry stateczne i perjodyczne. 6) Główniejsze prądy morskie. 7) Utwór powierzchni lądu stałego; klimat rzeczywisty. Rzecz cała jest napisana bardzo przystępnie, wyczerpująco i poprawnym językiem, a ponieważ klimatologja była dotąd w naszej literaturze nauką całkiem jeszcze nie poruszaną, przeto z prawdziwem zadowoleniem przyjęliśmy tę publikację, polecając ją wszystkim, jak na to zasługuje.

— Balladyna. Tragedja Juliusza Słowackiego. Uwagi nad istotą wewnętrznej treści utworu przez L-wa J-go. Toruń 1875. 8go str. 68.

— Bibliografja polska XV — XVI stulecia. Zestawienie chronologiczne 7200 druków w kształcie rejestru do Bibljografji, tudzież spis abecadłowy tych dzieł, które dochowały się w bibliotekach polskich, przez K. Estrejchera. Wydanie Akademji Umiejętności, staraniem komisji bibliograficznej. Kraków 1875 8° str. XVI i 226.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— W jednym z ostatnich numerów „Tygodnia“ zrobiliśmy uwagę „że sławny (!!!) balet“ paryskiego teatru Chatelet (?) wyjeżdżając ze Lwowa do Stanisławowa, tem samem udowodnił, że we Lwowie nie powinien był występować.“ „Gazeta Podkarpacka“ z dnia 13. maja 1875 interpeluje nas, cośmy przez to chcieli powiedzieć. Oto nasza odpowiedź: Lwów, jako najludniejsze w Galicji miasto, jest jedynem, w którem większe trupy artystyczne przyjeżdżające z zagranicy mogą występować. Pochodzi to ztąd, że każda taka trupa, jeśli jest rzeczywiście dobrą i z dobrze płaconych artystów złożoną, musi każdego wieczoru zarobić tysiące. Dowodem tego trupa Polliniego. W razie przeciwnym groziłoby jej bankructwo. Otóż balet p. Weissa, gdyby był rzeczywiście baletem wielko-europejskim, mógł był dać tylko we Lwowie kilka przedstawień i to po cenach wysokich. Wyjeżdżając do Stanisławowa, gdzie jedno przedstawienie mogło mu przynieść w najlepszym razie 200—300 guldenów, w mieście tem bowiem nie ma ani sali dość obszernej na pomieszczenie kilku tysięcy widzów, ani stosunkowo licznej publiczności — najjaśniej tem udowodnił, że trupę swoją licho opłaca. Wiadomą jest z drugiej strony rzeczą, że dobrzy baletnicy i dobre baletniczki biorą tysiące. Balet p. Weissa musi być zatem zły kiedy członkowie jego licho są płaceni. Otóż jeśli p Weiss mógł jeździć do Stanisławowa, to nie powinien był występować we Lwowie, czyli innemi słowy nie powinien był do Galicji wcale przyjeżdżać i głosić kłamliwie, że jego balet jest baletem paryskiego teatru Chatelet. W Paryżu nie ma teatru, któryby tak lichemu baletowi pozwolił się produkować. Nie ubliżaliśmy więc mieszkańcom Stanisławowa, ale uwagą naszą chcieliśmy ocenić wartość baletu p. Weissa. Mamy nadzieję, że „Gazeta Podkarpacka“ przyzna nam rację.

Literatura, sztuka i nauka.

— Donieśliśmy w numerze poprzednim, że autorem dramatu „Niewinni,“ który tyle hałasu narobił w Krakowie, jest p. Wł. Okoński. Otóż nazwisko to jest pseudonimem. Autorem jest bowiem p. Aleksander Świątochowski, którego zaliczamy do rzędu stałych naszych współpracowników. Niedawno umieściliśmy wyborną jego rozprawę „O dziedziczności charakteru“ pod znakiem A. S. a w poprzednim numerze ukończyliśmy drugą o „Historji cywilizacji“ Hellwalda. Przy tej sposobności musimy zbić twierdzenie dzienników tutejszych, jakoby p. Świątochowski był urzędnikiem banku Kronenberga w Warszawie. Pan S. bawi za granicą od dłuższego czasu w celach naukowych.

— P. Karol Forster przysłał nam pismo następujące:

„W interesie prawdy dotyczącej tak ważnej w dziejach naszego narodu epoki r. 1830 — 1831, poważam się prosić szan. redakcję o ogłoszenie następującego zapytania.

Przed wydaniem mego Rysu historycznego owej epoki, popartego przekazanemi mi papierami jenerała hr. Krukowieckiego, zgłosiłem się do Paryża, do osiadłego tam jenerała Rybińskiego, ostatniego naczelnego wodza wojsk polskich, z prośbą o wydanie mi z archiwów wojskowych w jego ręku będących świadectwa nieposłuszeństwa jenerała Ramorino, który mimo danego mu rozkazu na odsiecz Warszawy nie powrócił i tem upadek sprawy narodowej spowodował.

Jenerał Rybiński nadesłał mi wówczas następujące pismo:

„Dnia 30 sierpnia Ramorino odebrał rozkaz, ażeby wracał w spiesznych pochodach do Warszawy;— ten odmówił.

Więcej ci nie piszę, gdyż sam przygotowuję historją powstania owej epoki.

Paryż, 27 kwietnia 1872.

Jenerał Rybiński.“

Ponieważ jenerał Rybiński umarł już dość dawno w Paryżu a o pozostałym po nim manuskrypcie historji z roku 1830 — 1831 żadnej dotąd wzmianki nigdzie nie zrobiono; z drugiej zaś strony słychać że jeden z byłych koryfeuszów stronnictwa tak zwanego kaliskiego, które swemi intrygami znacznie się wówczas do klęsk narodu przyczyniło, przeszedłszy na wychodztwie do innego obozu, zamierza wydać szczegółowy opis owej epoki, którą już mylnie i w duchu stroniczym przedstawił w jednem z pism swoich drukiem ogłoszonych, historja napisana przez jenerała Rybińskiego, zaszczytnie znanego oficera, nie należącego do żadnych stronnictw, a oparta na archiwach wojska polskiego, byłaby w obec tego ważnym bardzo dokumentem prawdy historycznej dla naszeg-

narodu, — upraszam przeto niniejszem każdego z rodaków żyjących w Paryżu, aby w interesie ogólnym dziejów naszych raczył dać nam wiadomość, czy pomiędzy papierami po jenerale Rybińskim znajduje się taki manuskrypt, kto go dziś posiada, — i czy jest nadzieja, że takowy publicznie drukiem ogłoszonym zostanie?

Berlin, 29 kwietnia 1875.

Karol Forster."

— Często zdarza się, że jakieś pismo szczyci się powodzeniem, chociaż na nie bynajmniej nie zasługuje. Dowodem tego warszawskie „Kłosy." Przed kilku laty, wydawca tej publikacji starał się usilnie, aby pismo jego było dobre, i „Kłosy" w rzeczy samej odpowiadały słusznym wymaganiom publiczności. Dziś niestety część literacko-naukowa zeszła tam do zera, redakcji bowiem nie czuć zupełnie, a artykuły są prawie wszystkie tłumaczone z obcych języków— co do ilustracji zaś, to i pod tym względem zaniedbanie jest nadto rażące. Dwie lub trzy ryciny, pożyczone najczęściej u jakiegoś pisma zagranicznego— oto wszystko co każdy numer „Kłosów" przynosi. Z rysunkami oryginalnemi rzadko się spotykamy, chociaż może czytelnik lepiej na tem wychodzi, niż gdyby miał częściej widywać takie bohomazy, jak „Wieczór literacki u hr. Kossakowskiego" umieszczony w jednym z ostatnich numerów, który odpowiednio mógłby figurować tylko w takiem piśmie, jak śp. „Tygodnik lwowski." Widocznie wydawca „Kłosów" postanowił nie liczyć się więcej z publicznością, zapewne dla tego że ma już za wielu przenumeratorów. Bez porównania lepiej redagowanym i sumienniejszym w ilustracjach jest „Tygodnik ilustrowany" wychodzący także w Warszawie.

— We Lwowie utworzyło się nowe towarzystwo młodzieży akademickiej, pod nazwą: „Biblioteka słuchaczów prawa we Lwowie." Towarzystwo ukonstytuowało się d. 9. bm. wybierając prezesa i radę zawiadowczą.

— Ileż to talentów ginie u nas marnie z braku poparcia i opieki! Kazdego niemal dnia moglibyśmy na to dostarczyć dowodów, I tak w mieście naszem bawi młoda osoba, panna S. G. która ma głos niepospolity i wielki talent muzykalny. Dyrektor Mikuli w świadectwie jej wystawionem zaręcza, że młoda ta osoba kształcąc się, mogłaby zostać śpiewaczką znakomitą. Czy atoli znajdą się opiekunowie, który podadzą jej środki materjalne aby mogła rozwijać swój talent? Oto pytanie, na które może odpowiedzą nieliczne wprawdzie, ale mimo to zaszczytnie u nas znane osoby z gorliwego popierania prawdziwych talentów.

— Dzieje Polski Roepla (*Geschichte Polens von Dr. Richard Roeppel*) przełożył na język polski dr. Karol Przyborowski w Kamieńcu podolskim i poszukuje nakładcy.

— Akademja heraldyczna w Pizie, postanowiła ogłosić przedniejszych rodzin polskich historję i udała się do założyciela Muzeum Narodowego w Rapperswylu hr. Władysława Plattera z prośbą o pośrednictwo w zebraniu potrzebnych materjałów.

— Kongres jeograficzny w Paryżu, którego urządzenie rozpoczęto już przed rokiem, 1. października br. zagajonym zostanie w pawilonie de Flore w Tuilerjach. Zadaniem jego jest zbadać ziemię w całej rozmaitości jej objawów, tak pod względem jej fizycznego układu, jak i co do ogółu życia na jej powierzchni, — dalej, wynaleźć najlepsze środki do pomiaru i przedstawienia jej zewnętrznego, do oznaczenia jej stosunku do innych ciał niebieskich, do ścisłego odgadnięcia wszystkich następczych stanów naszej planety w różnych epokach i odnalezienia w niej śladów jej dziejów; wreszcie wyszukanie środków ku ułatwieniu komunikacji pomiędzy ludami, zrównaniu metód nauczania, nadaniu jednolitości badaniom i postępowi; – słowem zadaniem tego kongresu jest w danym przedmiocie przedstawić pewniki, rozjaśnić wątpliwości i zwrócić uwagę na rzeczy nieznane. W siedmiu sekcjach — a mianowicie: matematycznej, fizycznej, dla historycznej jeografji handlowej i statystyki, nauczania, podróży, hidrografji — ma być 123 pytań przedmiotem dyskusji. Wiele z tychże jest tego rodzaju, iż nie dają nadziei zadowalającego rozwiązania albo porozumienia się. Wypada się zatem obawiać, aby ten paryski kongres jak antwerpski nie zachorzał na zbyteczną wielkość a małą praktyczność swoich celów. Potrwa on 10 dni. Na wystawę z nim połączoną, a mającą się zacząć 15 lipca, trzeba przedmioty posyłać już w maju. Uczestnikiem może być każdy, kto pozyska kartę za 15 fr. albo w prost od barona Reille, Commissaire géneral au congres des sciences geographiques (Nr. 10 Boulevard Latour-Maubourg, Paris) lub też za pośrednictwem jednego z członków komitetu honorowego. Dla Niemiec są mianowani Freiherr v. Richthofen, Generał Bayer, pr. Kiepert w Berlinie; dr. Petermann w Gocie, pr. Peschel w Lipsku, Wappaeus w Getyndze i Schlagintweit w Monachjum.

— W tych dniach zostanie zachodnia fasada katedry kolońskiej uwolnioną od zbytecznych już rusztowań i oddaną ciekawemu oku publiczności.

— Pewna ilość rysunków Corneliusa z pozostałości Hadermana we Frankfurcie nad Menem, o której istnieniu przez długi czas wywiedzieć się nie było można, obecnie wynalezioną i nabytą została przez frankfurtskiego kupca obrazów Prestela w Kassel. Znajdują się w niej następujące, datujące się z pobytu mistrza we Frankfurcie obrazy: siedem rozmaitych rzutów i szkiców do cyklu „Faust" i dwa rysunki z odbytej w 1811 r. podróży do Taunus. Dwa te ostatnie i nadto trzy jeszcze szkice piórem, wykonane do „Fausta" przeszły już w ręce prywatnych zbieraczy we Frankfurcie.

— Wiedeński Hofburgtheater miał swój tydzień szekspirowski. Wszystkie siedem dramatów królewskich Szekspira w opracowaniu Dingelstedta, po starannem wystudjowaniu przedstawiono i to wśród najżywszego uniesienia licznie zebranej publiczności.

— Operetka Jana Straussa „Indygo" 27. kwietnia przedstawioną została w paryskim teatrze Renaissance ze świetnem powodzeniem.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— Urządzenie angielskiej wyprawy do bieguna północnego żywo postępuje naprzód. Wyruszy ona w drogę w pierwszej połowie lipca rb. 18 łodzi przeznaczonych dla niej nadeszło już do Portsmouth'u, przygotowano także 35 sani, — z których największe mogą pomieścić 12 ludzi i zapasy na 7 tygodni, a najmniejsze 4 ludzi. Ciężar zapasów, łodzi, przyrządów itd. jak najściślej obliczono. „Alekst" największy z okrętów tej ekspedycji zabierze 5 tonn wyskoku winnego, 10 tonn chleba, 85 tonn mięsa wołowego, wieprzowego, słoniny, kawy i konserw mięsnych. Ogólna waga ciężaru na pokładzie wyniesie około 540 ton, a zagłębienie okrętu 15' 6" na przedzie a 17' z tyłu. „Discovery" mniejszy okręt weźmie na pokład tylko 440 tonn ogólnego ciężaru, a zagłębienie jego będzie wskutek tego cokolwiek mniejsze.

— Członkowie paryskiej akademji umiejętności po naukowem zbadaniu barometru, zachowanego przez Gastona Tissandiera a który służył w czasie podróży trzem odważnym aeronautom, orzekli, że balon „Zenit" przy drugiem wzniesieniu się doszedł do wysokości 8600 metrów.

— Z portu Said donoszą o ciekawem odkryciu, którem zajmują się egiptologowie i badacze starożytności. Jakiś uczony archeolog odkrył temi czasy posąg wystawiony królowi Thotmesowi III, pod którego panowaniem w r. 1491. nastąpiło prawdopodobnie wyjście Izraelitów z ziemi egipskiej. Odczytane dotąd napisy, zawierają przeszło 400 nazwisk geograficznych, należących do Arabji, Armenji, Nubji i brzegów morza Śródziemnego.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa tatrzańskiego odbędzie się d. 30. bm. w Krakowie.

— Dyrektorowie najznaczniejszych kolei austrjackich postanowili, w razie gdyby przeprowadzonym został przymus językowy na kolejach węgierskich względem innego pochodzenia urzędników, nie odbywać w przyszłości wspólnych konferencyj z węgierskimi dyrektorami kolejowymi i na przyszłem walnem zebraniu związku kolejowego w Bremen wyłączyć węgierskie koleje ze związku niemiecko-austrjackiego.

Gospodarstwo.

— Owad *Phyloxera vastatrix*, który od dłuższego już czasu niszczył winnice europejskie, nie był prawie do wytępienia, skutkiem czego Akademja paryska była zmuszoną ogłosić nagrodę za wynalezienie środka zaradczego. Sławny chemik, Dumas, członek Akademji nauk zawiadomił teraz swoich kolegów, że środek ten wynalazł.

— Międzynarodowa wystawa ptactwa we Wiedniu, została dnia 29. kwietnia otwartą. Największą jej ozdobą jest wystawa kur, na wielką skalę i najlepiej urządzona. Obiedwie zbiorowe wystawy monachijskie i księcia A. Schwarcenberga także tutaj pomieszczono. Oddział gołębi zawiera również wiele cennych okazów; wszystkie modne i pożyteczne rasy mają tu swoich przedstawicieli.

Szkolnictwo.

— W Krakowie zostanie otwarty pierwszy ogródek froeblowski d. 20 bm. przy seminarjum nauczycielskim żeńskim. Przewodniczącą będzie w nim panna Marja Schillinga, która kosztem rządu kształciła się na nauczycielkę ogródków froeblowskich, w słynnym zakładzie księdza M. Hörfartera w Kufsteinie. Za przykładem Lwowa i Krakowa, które już mają szkółki froeblowskie, powinne teraz pójść główniejsze miasta prowincjonalne w Galicji.

Nekrologja.

— Niedawno zmarł słynny angielski podróżnik po Afryce, autor i korespondent, Winwood Reade, licząc lat zaledwie 37. Zawód swój pisarski rozpoczął on od romansów, ale z nieszczególnem powodzeniem; dopiero dzieła jego o Afryce zjednały mu wielki rozgłos. Teorje Francuza du Chaillu o sile i napastniczym charakterze gorillów, zapaliły w nim żądzę do podróży i przygód. Zaciągnąwszy dług na rachunek przyszłej swojej schedy, puścił się do Afryki na polowanie na gorille. Wprawdzie nie wszystko co du Chaillu pisał o gorillach okazało się prawdą, ale wycieczce tej Reade'a zawdzięczamy znakomitą zarówno treścią jak stylem książkę: „Savage Africa" (Dzika Afryka). Choć bardzo delikatnie zbudowany, w parę lat przedsięwziął nową podróż do wnętrze Afryki, a powróciwszy wydał dwie książki: „Tha Martyrdom of Man" i „African Sketchbook," które wywołały uwielbienia i ostre nagany, a zyskały zupełną aprobatę Darwina. W listopadzie 1873 był Reade korespondentem do „Times'a" z pola wojny z Ashantami. Z tej trzeciej wyprawy do Afryki wrócił już z niezmiernie zrujnowanem zdrowiem, i nie długo też zszedł z tego świata, zawcześnie dla nauki i literatury.

ROZMAITOŚCI.

— Jedni z pierwszych zaznaczyliśmy na tych kartach wiadomość o kapitanie Boytonie, o wynalezionym przez niego przyrządzie do pływania i próbach, jakie z nim miał czynić. Uważaliśmy jednak cała tę rzecz, za jeden z owych genjalnych „humbugów" amerykańskich, których ukrytym celem jest najczęściej jakaś reklama, a cały urok spoczywa w nadaniu zmyśleniu zadziwiających pozorów prawdy. Tymczasem wedle najnowszych i wiarogodnych sprawozdań zagranicznej prasy wynalazek powyższy okazał się nietylko prawdziwym ale praktycznym w zupełności, jak tego próby odbyte z nim na wodach pomiędzy Duwrem i Boulogne chlubnie dowiodły. Jeden z dzienników francuzkich tak opisuje wynalazcę i przyrząd: „Paweł Boyton jest to młodzieniec dwudziestosześcioletni, niepospolitej energji, zawdzięczający usługom swoim w służbie ratunkowej morskiej Stanów Zjednoczonych tytuł kapitana. Przyrząd, którego używa, wynalezionym został przez niejakiego Merrymana, Amerykanina, ale doskonałość swoją obecną zawdzięcza Boytonowi. Jest to odzienie z kauczuku, złożone z dwóch części: z rodzaju tuniki, czyli bluzy z rękawami i kapturem ściśle przystającemi do rąk i głowy, tak że twarz tylko jest niepokrytą; — i ze spodni, kończących się parą butów a w pasie ściśniętych stalową przepaską. Niższy brzeg tuniki i wyższy spodni przystają do siebie szczelnie, a szczelność tę jeszcze zwiększa i całkiem nieprzenikliwą tę odzież czyni opinający ją po wierzchu pas elastyczny. Wewnątrz tej odzieży znajduje się pięć kieszonek do napełniania powietrzem; jedna z tyłu głowy, druga na plecach, trzecia na piersiach, a dwie pozostałe pod kolanami. Do kieszonek tych przytwierdzoną jest kiszka kauczukowa, dostatecznie długa, ażeby pływak mógł wolny koniec jej pochwycić w usta i w kilka sekund wydąć ubranie powietrzem. Przyodziane w ten strój ciało pływaka, unosi się jak korek nad wodą, gnąc się za każdym ruchem, za każdym kaprysem, a czy leży na wznak, czy na piersiach, czy też utrzymuje się w pozycji prostopadłej nie potrzebuje obawiać się zatonięcia. Do odzieży

przytwierdzoną jest także bussola, a w jednym z butów znajduje się olstra, w którą zakłada się maleńki maszcik, przeznaczony już to do niesienia chorągiewki sygnałowej, już też do utrzymywania maleńkiego żagla, którym się manewruje za pomocą rzemyków. Wreszcie wiosło płaskie a szerokie, tak zwana indyjska pagaja, uwieszone na rzemieniu przy ręce, służy do wiosłowania i sterowania. Jakkolwiek kapitan Boyton odbył już dosyć ważne próby ze swojem przyrządem, zaraz po przybyciu do Auglji, dla okazania jednak doskonałości jego i trwałości postanowił przebyć w oczach zgromadzonych widzów wpław cieśninę Kaletańską. W Sobotę tedy, dnia 10 Kwietnia, o godzinie trzeciej rano, kapitan Boyton przywdział swój kostjum, zaopatrzył się w trąbę, butelkę wódki, ogromny nóż do zwalczenia w danym razie zbyt ciekawych delfinów i węgorzów morskich, poczem zszedł ze schodów doki duwrskiej i rzucił się we wzburzone morze. Zuchwałemu wynalazcy towarzyszył „Rambler“ mały parowiec, na którym znajdowali się brat jego, doktor i zaproszeni widzowie. Zaraz z początku wir sprawiony przez koła przepływającego holownika postawił kapitana w dosyć niebezpiecznem położeniu; jednakże za pomocą swojej pagaji wydobyć się z niego zdołał. O czwartej, Boyton już na pełnem morzu, rozpinał swój żagiel, i pomimo bardzo małej powierzchni jego, mniej więcej chustki do nosa, — widocznie znajdował w nim znaczną pomoc. Wielekroć, w ciągu tej podróży, kapitan z najzupełnieszą swobodą zbliżał się do towarzyszącego mu parowca, bądź dla zawiadomienia obecnych tam o stanie swego zdrowia, bądź też dla zażądania cygara, które palił, płynąc. Około 6ej rano przebył już okoio 6 mil (lieues). O siódmej łódka wysłana z parowca przywiozła mu pierwsze śniadanie, a gołębie pocztowe poniosły do Douvres wiadomość: „Wszystko jak najlepiej!“ Przybywszy do mielizny Varnes, pierwszej na drodze w kierunku Anglji, pływak zatrąbił dla oznajmienia swej obecności licznym barkom rybackim i skłonienia ich tym sposobem do omijania go. O dziewiątej widziano go — „łódź żyjącą“ zwijającego żagiel i pozostającego chwilę bez ruchu, dla zażycia odpoczynku. Około drugiej pojawił się parowiec pocztowy „Napoleon“ zdążający z Folkestone do Duwru; passażerowie pozdrowili okrzykami kapitana, który im za to podziękował wznosząc swoją pagaję i potrząsając nią. Później inny parowiec, dążący w przeciwną stronę uczcił także naszego pływaka, przez wywieszenie kolorów francuskich. Około szóstej wieczorem widoczną było rzeczą marynarzom i doktorowi, że siły kapitana słabły, a ponieważ mrok szybko zapadał, wiatr począł się budzić i morze pełniejsze i bardziej wzburzone nie pozwalało komendantowi parowca dłużej odpowiadać za życie odważnego pływaka, ani narażać swoich ludzi komunikując się z nim, prosił tedy Boytona, brata, aby kapitana wezwał do przybicia do okrętu. O kwadrans na siódmę, po energicznem oświadczeniu, że wbrew woli swojej wyrzeka się dokonania przedsięwzięcia, wstąpił kapitan na pokład parowca. Ani kropelka wody nie przesiąknęła jego odzieży, pomimo że znajdował się już w wodzie od szesnastu godzin. Parowiec, przybył wraz z nim przed Boulogne gdzie uprzedzony przez załogę „Napoleona“ niezmierny tłum już na nich oczekiwał. Huczne okrzyki powitały Boytona, który przybrany w swój kostjum, zeszedł do barki „Richard Wallace“ wysłanej na jego spotkanie, wyszedł na ląd w pobliżu zakładu kąpielowego i spoczął tam nieco, wysławszy jednak pierwej do królowej angielskiej, stosownie do jej życzenia, telegram zwiastujący przybycie jego do Boulogne. Jeżeli kapitan Boyton nie przebył w zupełności cieśniny Kaletańskiej, należy to przypisać nie niedokładności jego przyrządu, ale stanowi morza w czasie tej próby, gwałtowności prądów i innym przeszkodom, których przy tak nowem przedsięwzięciu niepodobna było jeszcze przewidzieć. Nie mniej jednak ten pobyt szesnastogodzinny pływaka na wzburzonem morzu dowiódł, że człowiek przyodziany w kostjum Boytona, uważanym być może za bezpiecznego zupełnie od zatonięcia.

— Niemiecka wyprawa do Afryki, jak pod niepomyślną wróżbą się rozpoczęła, tak pomimo okazanej dobrej chęci, energji i wytrwałości ze strony członków biorących w niej udział, pomimo znacznych sum pieniężnych na cel jej wydanych, nie może jeszcze wyjść z zaklętego koła niepowodzeń. Uczeni niemieccy, kreśląc w Berlinie teoretyczny plan badania środkowej Afryki, nie przypuszczali zgoła, że wyprawa napotka na trudności niezwalczone prawie; już dwa lata, jak wylądowała na brzegach afrykańskich, a do dnia dzisiejszego siedzi tamże zrozpaczona, nie wiedząc co dalej począć. Morderczy klimat wywarł zaraz na grono podróżników wpływ jak najstraszliwszy. Dwóch z nich, porucznik Görschen i Hattorf, musieli opuścić niegościnną ziemię i udać się dla ratowania silnie nadwerężonego zdrowia z powrotem do Europy. Profesor Bastian, który się udał na wybrzeża Loangi w celu urządzenia głównej niejako dla ekspedycji kwatery, cudem tylko uniknął śmierci, podczas gdy kapitan i wielu oficerów pełniących służbę na parowcu oddanym na usługi wyprawy, padło ofiarą zabójczych chorób. Również doktor Güssfeldt, stojący na jej czele, ucierpiał nadzwyczajnie wiele od febry, jakiej dostał, uczyniwszy małą siedmio milową w okolice Ingeli wycieczkę. Cesarsko niemiecka korweta „Gazella“ przed trzema miesiącami wyprawiła w górę rzeki Kongo małą ekspedycję składającą się z 27 ludzi, uzbrojonych w rewolwery i opatrzonych na długo w zapasy żywności. Lecz dotarłszy zaledwie do Bomary 12 i pół mili od ujścia oddalonej, zmuszoną była z niczem do statku powrócić; gdzie tylko bowiem próbowała po drodze wylądować, na takie z powodu rosnących gęsto krzewów i zarośli napotykała trudności, iż zamiaru tego zaniechać musiała. Już przed trzema laty panowie Lähder, Reichenow i Buchholz po całorocznem przygotowywaniu udali się również w głąb Afryki dla dokładnego jej zbadania. Pierwszy wkrótce zaraz zmarł, Buchholz został nieco dłużej, a Reichenow, powróciwszy do Europy, oświadczył iż każda wyprawa pozostanie bezskuteczną, gdyż najprzód sam klimat w tamtych stronach jest niezdrowy, a powtóre ogromny jest brak zwierząt pociągowych do przenoszenia nieodzownych podróżnym transportów. Możnaby wprawdzie najmować do tego ludzi, lecz panujące nieustanne zatargi i wojny pomiędzy krajowcami największą są ku temu przeszkodą, gdyż żaden z najemników nie chce się ryzykować na przekroczenie terytorjum, na którem wszyscy zajęci są tylko wspólnem mordowaniem siebie. Angielski oficer marynarki, Grandy, wysłany z bratem przez londyńskie Towarzystwa geograficzne dla czynienia naukowych obserwacyj nad brzegiem Kongi, chociaż posiadał wiele w tym względzie doświadczenia, a przy tem zaopatrzony był w potężne środki materjalne i w pięćdziesięciu ludzi, najętych w Sierra Leone do transportowania rzeczy, widział się przecie zmuszonym zawiesić swoje prace i, nic nie wskórawszy, powrócić do Anglji. Otóż wyprawa niemiecka, nauczona smutnem doświadczeniem, przyszła do przekonania, iż pomiędzy Kongą a Quillu, czyli właśnie w głównej dla niej operacyjnej podstawie, niepodobna od tubylców wymagać żadnej w transportowaniu rzeczy pomocy. Więc postanowiła wysłać doktora Güssfeldta do Loandy, miasta portugalskiego, leżącego więcej ku południowi, w celu najęcia za dobre pieniądze ze stu przynajmniej tragarzy. Major Mechow, wysłany z Berlina dla uorganizowania na potrzeby wyprawy służby pociągowej i zaprowadzenia jakiej takiej pomiędzy nią subordynacji, musiał już zapewne przybyć na miejsce. Ciekawa rzecz, czy major zdoła zaszczepić w umysłach negrów afrykańskich poszanowanie i posłuszeństwo dla militarnego kodeksu pruskiego. Łatwiej podobno nad Spreą komenderować setkami tysięcy, jak nad Kongą kilkudziesięciu ludźmi. Ale być może, iż w tym względzie talent majora Mechowa jest wyjątkowo wielkim, a czego nieraz najznakomitszy i najwięcej posiadający daru zniewalania sobie krajowców sławny Livingston i mnóstwo innych afrykańskich podróżników nie było wstanie uczynić, komenda na pruski sposób dokaże. I nie będziemy na to długo wyczekiwali, bo oto najdalej w połowie maja r. b. wyprawa niemiecka jeżeli okoliczności pozwolą, zamyśla ruszyć w głąb Afryki. Doktor Petermann, znany wydawca geograficznego gotajskiego czasopisma, podał świeżo Towarzystwu afrykańskiemu w Berlinie projekt zastąpienia ludzi, niezbędnych do transportowania rzeczy, słoniami z Indyi sprowadzonemi. Opiera on się na zdaniu głośnego angielskiego podróżnika Pethericka, który nie bez słuszności uważanym być może za najkompentniejszego znawcę w tej sprawie. Petermann stawia głównie za przykład kampanję angielską w Abissynii. Jak wiadomo, rząd Wielkiej Brytanji wysłał przed kilku laty armję w celu ukarania władcy Magdalji. Do przeniesienia wojennego materjału użyto nie mniej jak 2538 koni, 16,022 mułów, 1650 kucyków (Ponnie), 5733 wielbłądów, 1759 osłów, 7071 wołów i 44 słoniów. — Środki więc transportowe były aż nadto na potrzeby wojska wystarczajace. A ponieważ przewidywano, iż górzysta droga do Magdalji niesłychane trudności będzie przedstawiała, gdyż miejscami wysokość gór dochodzi do 11,500 stóp, czyli równa się szczytom Alp i Pireneów, więc nie miano wielkiej nadziei w pożyteczną słoniów obsługę. Tymczasem zwierzęta te, przewiezione z Indji na dwóch okrętach, z dziwną łatwością odbyły drogę, dźwigając na grzbietach dwunastofuntowe Armstrongi i trzycalowe moździerze, których niepodobna było w inny sposób w tak krótkim przeciągu czasu przetransportować. Waga tych ciężarów na jednego słonia dochodziła do 1800 funtów, a pomimo że musiano przebywać bezludne górzyste abissyńskie pustynie, pozbawione wody i odpowiedniej paszy, przecie przez przeciąg całej kampanji z liczby 44 słoniów zdechło albo dobito tylko 5, reszta zaś 30 zdrowo powróciła do Indji. Stworzenia te, jak utrzymuje kapitan Codolitsch, który miał sposobność dokładnego ich w marszu obserwowania, odznaczały się dresurą do najwyższego stopnia posuniętą, i nawet rzec można, wysoką inteligencją. Na miejscowych mieszkańców te oswojone słonie posłuszne każdej, najmniejszej woli człowieka, wywierały niesłychane wrażenie; znali oni podobne zwierzęta, lecz tylko dzikie, w stanie natury żyjące, i pojąć nie mogli uległości ich dla Anglików. W oczach Abissyńczyków Anglicy z tego powodu uchodzili za naród wybrany na świecie. Było to zresztą doświadczenie śmiałe w swoim rodzaju; słonie przywykłe do gorącego indyjskiego klimatu, do wygodnych po większej części dróg tamtejszych, miały się w Abissynji spotkać z temperaturą chłodną, często spadającą niżej zera, gdzie nieraz po wąskich tylko ścieżkach skalistych przechodzić należało. Doświadczenie powiodło się jak najlepiej i pomimo różnorodnych przeszkód zwierzęta te obarczone znacznemi ciężarami, kroczyły wciąż razem z wojskiem i na czas przybywały do wskazanego miejsca. Z początku obawiano się, ażali skalisty grunt, po którym przechodzić wypadało, nie pokaleczy im nóg; z tego nawet powodu posprawiano słoniom grube skórzane worki, mające służyć za obuwie. Lecz wkrótce przekonano się, iż przezorność ta była zbyteczną: słonie tak ostrożnie sobie drogę wybierały, tak macały w przód trwałość i siłę gruntu lub kamieni, po których stąpać im wypadało, tak zręcznie sprzątały trąbami wszelkie na drodze zawady, że nogi ich mało bardzo w ogólności ucierpiały. Wielbłądy przeciwnie, pomimo że klimat abissyński był dla nich stosowniejszym, setkami dziennie z trudów i niewygód zdychały. Dr. Petermann utrzymuje iż dwanaście słoniów zakupionych na Ceylonie i sprowadzonych na brzegi Loangi, mogłoby wyświadczyć niemieckiej wyprawie w Afryce nieocenione przysługi. Komitet Towarzystwa posiada znaczne materjalne środki, więc koszta z tego powodu nie powinne go przestraszać. Zresztą rząd cesarsko-niemiecki mógłby wyznaczyć jaki statek na przewiezienie tych zwierząt; np. ta sama korweta „Gazella“, co usiłowała urządzić ekspedycję na Kongo, a której niby przeznaczeniem nieść wszelką pomoc wyprawie, lepiejby się przysłużyła dostarczeniem pożytecznych stworzeń do dźwigania i przenoszenia transportów niezbędnie potrzebnych, aniżeli bezpożytecznem kręceniem się około afrykańskich wybrzeży.

Treść Nr. 20.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).